№ 36. Warszawa, dnia 27 Sierpnia (8 Września) 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.— Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**

Półrocznie . . . **rs. 5**

Rocznie. . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . **rs. 1 k. 25**

Półrocznie . . . . **rs. 2 k. 50**

Rocznie . . . . . **rs. 5**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

KASZUBI.

Skreślił

WIKTOR CZAJEWSKI.

(Dalszy ciąg.)

Z materyału zaś tkanego na wpół z przędzy i wełny noszą „herneje", czyli kaftany, spięte na przodzie guzikami.

W dni świąteczne herneja ustępuje miejsca kamizeli ciemnobrunatnej, również jak u naszego ludu na wrębach obłożonej czerwonemi ozdobami. U kamizeli tej nie znajdujemy już guzików, ale za to haftki.

Kobiety mniej różnią się swoim charakterystycznym strojem od innych wieśniaczek naszego kraju. Noszą one przedewszystkiem odmienną koszulę, która fałdując się gęsto okrywa całą pierś i szyję. Na nią wkładają czarne, z własnej przędzy uszyte staniki, sznurując je na przodzie piękną kolorową wstążką, odróżniającą się od czerwonej podkładki. Spódnice zwykle czerwone lub białe, fałdują się gęsto a na święto uzupełniają ten przystrój jeszcze kabacikiem z krótkiemi połami, który również jak i kamizela zapina się na haftki. Ubiór głowy różni się też nieco od innych naszych okolic. Niewiasty kaszubskie splatają zwykle włosy w dwa warkocze, upinając je potem około głowy. Dziewczęta kładą na nie rodzaj białej zawitki, a następnie czarny kołpaczek, często czerwonem przyozdobiony.

Mężatki pod zagłówkiem noszą biały czepiec z suto koło głowy ułożonemi falbanami.

Łatwo z tego opisu poznać, co stanowi pierwotną formę tego ubioru, co zaś należy do naleciałości. Pończochy i trzewiki u mężczyzn nigdy nie były strojem słowiańskim i niezawodnie zapożyczono to od mieszczaństwa niemieckiego, zapełniającego oddawna miasto słowiańskie.

Urządzenie ziemi i cała kultura dawna nie ma w sobie tyle naleciałości. Chata Kaszuba niczem się nie różni od chaty naszego wieśniaka. Płody spożywcze są też same jakich i nasz lud używa i w przygotowaniu nie różnią się one niczem z wyjątkiem jednego chleba, który Kaszubi z żyta i jęczmienia wypiekają. Chleb ten nie jest smacznym i dobrym, jak przez lud nasz używany, owszem jest ciężkim i niezdrowym, ma jednak tę własność, że zęby od niego znacznie bieleją. Oto jest obecny stan mieszkańców wiejskich.

Mieszczaństwo kaszubskie coraz więcej ginie Hilferding w swojej historyi „Ostatki Słowian na południowym brzegu Baltyckiego morza" powiada, że już podczas jego tam pobytu niewielu starców rzemieślników żyjących w miastach kaszubskich, mówiło swym dawnym językiem, a jednak były czasy kiedy to mieszczaństwo kwitnęło.

Wogóle cała ludność kaszubska dziś żyjąca, musiała zastosować się do warunków klimatycznych.

Kraina ta opasana dokoła morzem, w położeniu nizkiem, przepełniona drobnemi rzeczkami, strumykami i masą jezior, dawała zajęcie wielu swoim mieszkańcom przy połowie ryb.

To też najwybitniejsza część ludności oprócz gospogarki, zajmowała i do dziś jeszcze zajmuje się rybołówstwem.

Produkta te muszą być zbywane rychło i dlatego miasta kaszubskie obracając często tym produktem kwitnęły kiedyś handlem.

Stolicą Kaszubii jest niewielkie miasteczko Puck, położone nad zatoką morską tegoż nazwiska i tam prowadzi się główny handel rybny.

Założycielem Pucka był najmłodszy syn Wracisława I-go Bogusław I-szy książę Pomorski spokrewniony z Mieszkiem starym, którego córkę Anastazyę pojął za żonę. Umarł on w 1188 roku a zatem przed tym rokiem musiało być założone to miasto, które powielokroć bywało przedmiotem zaciętych szturmów. Rzeczywiście położenie Pucka jest bardzo ważnem, tak iż Zygmunt August, bystry i zdolny organizator, założył tu port obszerny i pragnął Puck wynieść do pierwszorzędnych portów, w którymby przyszła polska flota miała schronienie, zamiary jednak króla spełzły na niczem i dopiero Władysław IV obwarowawszy silnie Puck, wedle myśli ostatniego Jagiellona, uczynił go stolicą zamierzanej marynarki polskiej, przeznaczając na to dochody ze wszystkich starostw pomorskich.

Były to najświetniejsze chwile Pucka, które przeciągnęły się aż do 1655 roku. Wtedy o mury tego miasta rozbiły się wszystkie wysilenia chcących je zdobyć Szwedów.

Była to prawie ostatnia usługa i odtąd nie był już napastowanym.

Do 1772 roku Puck posiadał w swych murach starostwo niegrodowe i miejsce gdzie się odbywały sądy i sejmiki ziemskie, lecz po upadku Polski i te godności utracił.

Handel i przemysł przeniósł się do większych miast pruskich, a Puck osierocony zajmuje się wyrabianiem sieci...

Drugiem znaczniejszem miastem w Kaszubii Weiherowo czyli Wejrowo (Neusztad) nad Radonią, słynne ze swych odpustów. Początek swój miasto to zawdzięcza Jakóbowi Weiherowi wojewodzie Malborskiemu i Bytowskiemu, który 1634 roku wskutek uczynionego ślubu, naprzód klasztor Reformatów, a potem tak zwaną Kalwaryę tu ufundował.

Niegdyś podczas Zielonych świąt i Wniebowstąpienia, przybywało tu z okolicy i Polski do 30 tysięcy ludzi, a chociaż liczba ta zmniejszyła się dziś o połowę, to jednakże nie jest ono zapomnianem. Wprawdzie rząd pruski suprymował ten klasztor, ale go Kaszubi za 7 tysięcy talarów nabyli.

Weiherowo jednak z czego innego było słynnem i ważnem dla Kaszubów, albowiem mieściło do niedawna jedno gimnazyum, gdzie wykładano język polski.

Oba te miasta były stolicami Kaszubskiej ziemi, i wychowały dotąd mieszczaństwo kaszubskie, które coraz więcej zalewane przez przedsiębiorczych Niemców, zaczęło ginąć... i dziś do niebyłych możemy go zaliczyć.

Nie będziemy więc dłużej zatrzymywać się nad tem upadłem mieszczaństwem i przejdziemy wprost do mieszkańców wsi.

Główną cechą kaszubskiego ludu będzie niezawodnie ta, iż jest bardzo smutnym, nietylko w charakterze i usposobieniu, ale nawet i w śpiewie, który przecież nie powstał w dzisiejszych okolicznościach. Wogóle Kaszub przez tyle wieków zostający w ciągłej walce z germanizmem, wyrobił sobie tę skrytość i niechęć ku tym, którzy nie mówią jego językiem. Nie lubi on tańczyć, a przynajmniej rzadko tańczy, nie szukając ku temu sposobności.

Co się tyczy pieśni ludowych, używanych w różnych porach roku, przy obrzędach weselnych i t. p. nie posiada prawie wcale, prawdopodobnie dlatego, że niechętnie śpiewa. Wszystkie zaś jakie ma piosenki, są krótkie i nie przekraczają prawie nigdy jednej zwrotki: z tych pieśni wynotujemy parę np.

A ty kwiatku lawendowy
Nie spadnijże z mojej głowy,
Bo gdy raz z niej spadniesz,
Już na nią nie padniesz.

Przytaczam tę piosenkę po polsku. Jak widzimy nie odróżnia się ona niczem od naszych wiejskich piosenek, owszem jest nawet suchą i prostą, podobną, a co więcej zupełnie spokrewnioną z naszem kwiatkiem lawendowym, który jak tu, tak i tam ma jedno znaczenie i jedną myśl w sobie zawartą.

Albo też inna piosenka:

Moja pani matko,
Trzymajże mnie gładko,
Od niedzieli do niedzieli,
Jak czerwone jabłko.

Wogóle ten rodzaj poezyi nie jest wcale uprawiany i jeżeli spojrzemy na nasze krakowiaki lub kujawiaki, wtedy ogromnie źle przedstawią się nam pieśni kaszubskie. Więcej za to fantazyi i zabobonu Kaszubi łączą z różnemi obrządkami. Bardzo uroczyście np. obchodzą wesela, a w całej tej ceremonii, wiele bardzo charakterystycznych im właściwych cech się mieści.

Ażeby dobitniej to scharakteryzować przytoczymy tu niektóre ślubne obrządki:

„Wesela u Kaszubów zwykły się odbywać przed świętym Marcinem, zazwyczaj wszystkie w jeden dzień, najczęściej we wtorek.

Przy ugodzie o ślub nie ma mowy o posagu, zapewnie dlatego, że Kaszubi są zbyt biedni.

Wyposażenie więc zostawia się możności i łasce rodzicielskiej, ale tylko ostatnia nędza uwalnia od ofiarowania zwyczajem oznaczonych darów.

I tak — narzeczona winna] dać narzeczonemu przed zaręczynami: koszulę, spodnie, chustkę na szyję i do nosa, parę pończoch i parę rękawic, a przy ślubie po raz drugi chustkę do nosa i na szyję. Obowiązana też obdarować całą rodzinę narzeczonego, ofiarując po parze rękawic, tak że niejednokrotnie do trzydziestu par rozdać musi. Dlatego też Kaszubskie dziewuchy wcześnie zaopatrują się w wełnę i robią zapas rękawic.

Jeżeli narzeczony ma ojca, to ten otrzymuje od przyszłej synowej koszulę, chustkę na szyję i do nosa, tudzież rękawice, matka zaś cztery łokcie szlązkiego płótna, każda z zamężnych siostr po dwa łokcie, niezamężne po jednym łokciu.

Z drugiej strony narzeczony daje swej oblubienicy dwa łokcie cienkiego płótna, parę trzewików i talara lub kilka talarów srebrem. Towarzyszący zalotnikowi ojciec lub matka także łączą do tego szczupły pieniężny datek. Ojciec panny dostaje futrzaną czapkę, każdy z braci po czapce, każda z sióstr po łokciu jednym czarnej tkaniny na kaftanik. Matka nic nie dostaje i dać jej jakiś podarunek uważanoby za nieprzyzwoitość.

W wigilię ślubu każde z młodych obiera sobie tak zwanego *starego*, (¹) którym może być wszakże i młody zupełnie człowiek. Ci oblekłszy się w świąteczny ubiór z zielonym bukietem, malarskiem złotem i trójbarwnemi wstęgami przyozdobionym, na czapkach i u boków, biorą w ręce w kwiaty wystrojone podróżne kije i ruszają spraszać na wesele gości, ułożonemi na to wyszukanemi i humorystycznemi oracyami.

Zamężne kobiety u Kaszubów nigdy nie bywają zapraszane na wesela, z wyjątkiem dwóch par tak zwanych „przedanek", które sobie pan młody i panna młoda wybierają. „Przedanki" jest to godność bardzo zaszczytna i pożądana dla kobiet, nic więc dziwnego, że już dla samego zwyczaju weszło pewne ich odznaczenie prawie w modę. Przypinają one na głowie białe „rańtuchy". Zaproszeni goście zbierają się w części u narzeczonego, częścią w domu dziewczyny, gdzie ich przyjmują wódką i chlebem z masłem.

Około południa „stary" zawodzi pieśń: „W imię Boże zbierajmy się w drogę" poczem po serdecznem i gorącem błogosławieństwie rodziców z obydwu domów weselnych wyruszają obiedwie strony do kościoła. Orszaki weselne spotykają się i łączą dopiero na cmentarzu.

Skoro duchowny stanął już przy ołtarzu, zaczyna się uroczyste wejście do kościoła. Otwiera je „stary" pana młodego z podniesioną laską, za nim postępuje młody z najbliższymi swymi krewnymi, dalej jego przedanki, a w końcu reszta z jego strony sproszonych gości. Takimże samym porządkiem wchodzi następnie orszak narzeczonej. Przy ślubie „starzy" stoją po stronie państwa młodych, a „przedanki po za niemi". Z kościoła udają się wszyscy do jednego z mieszkańców wioski, który ofiarował się ugościć weselników piwem, chlebem, masłem i śledziem. Starzy wyliczają wydatek jaki poniósł i spłacają mu go, nakładając składki na obecnych mężczyzn. Panna młoda siedzi przez ten cały czas w węgle izby, nieodstępowana od swoich „przedanek". Wieczorem wesele udaje się do domu, gdzie mają mieszkać państwo młodzi.

Na zapukanie, z głębi odzywa się głos:

— Kto tam?

— Przyjaciele — odpowiadają przybyli.

— Nie — mówi dalej ukryty w chacie — jeśli nie jesteście obcy lub Niemcy, wylegitymujcie się.

Na to weselnicy kreślą na kawałku papieru parę gzygzaków węglem i ten szparą podedrzwiami przesuwają.

Igraszka ta powtarza się kilkakroć, zanim im otworzą. W czasie uczty weselnej dziewczęta siedzą u stołu, poprzedzielane mężczyznami. Świec stojących przed państwem młodem nie objaśnia się wcale, aby nie przeciąć płomienia ich wzajemnej miłości, która do końca ich istnienia goreć winna. Ugoszczenie odbywa się na rachunek rodziców młodej lub jej rodziny.

W stronach gdzie Kaszubi nie mają muzyki i nie tańczą, czas po wieczerzy spędzają na grach rozmaitych.

Po ukończeniu uczty „przedanki" rozbierają pannę młodą, odprowadzają ją do komory, a zamknąwszy drzwi na klucz, odchodzą z nim wraz z resztą gośćmi do domu.

(*D. c. n.*)

(¹) U Kaszubów pomorskich służy ta nazwa. W Prusiech zachodnich nazywają go *drużbą* albo *wobca*, od słowa wabić czyli zamawiać.

* * *

Na ludzkich serc nieczułość nigdy się nie żalmy
Dlatego, że nas przyjaźń zawiodła nieszczera:
W pustyni zwanej życiem są źródła i palmy,
Choć tysiące podróżnych z pragnienia umiera.

Komu raz wieniec z cierni złe losy uplotą,
Czyż sądzi, że już kwiatów zabrakło na krzewie?
Czyż o istnieniu słońca ten wątpi lub nie wie,
Kogo Boskie wyroki dotknęły ślepotą?

Ah! wy mi nieustanne zarzuty czynicie,
Że myśli moje czarne, jak w żałobnej krepie,
A jednak, choć wzrok duszy w chmurne niebo [wlepię,
Wierzę w promień słoneczny co rozjaśnia życie:
Pośród gromów i burzy tą myślą się krzepię,
Że inni podziwiają tęczę na błękicie.

Emilia.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Walentyna zobaczywszy przyjaciółkę, powitała ją z niezmierną radością, podbiegła nawet ku niej i zaraz żalić się zaczęła, że z woli stryjenki z dalszych wykładów naukowych korzystać nie może.

— Ah! jak jestem tem zmartwiona — mówiła dalej — to ci nawet tego wypowiedzieć nie umiem. Chwile spędzane u was wielką mi sprawiały przyjemność, tak się niemi cieszyłam, że myśląc o ich stracie łzy mi się cisną do oczów. Dlaczegóż co dobre i miłe tak trwa krótko? Pociesz mnie Ernestyno, pożałuj trochę...

— Żałujemy i my wszyscy straty twego towarzystwa — odrzekła p. Debry — a szczególniej ktoś bardzo ci życzliwy.

Walentyna cała stanęła w płomieniu.

— I któż to taki? — zapytała.

— Nie domyślasz się?

— Nie, moja droga.

— Na pewno?

— Jakże możesz o to pytać?

— No to ci powiem, że tym ktosiem, to jest p. Józef Długosz...

— Ah! — zawołała Walentyna, z przestrachem spoglądając na drzwi prowadzące do gabinetu p. Smirskiej — gdyby to stryjenka usłyszała...

— To cóż? — zapytała z największem zadziwieniem p. Debry.

— I ty się pytasz? Oh! mój Boże, mój Boże! na samą myśl czegoś podobnego serce mi zamiera...

— Nie rozumiem cię moja droga.

Walentyna załamała ręce, w chwilę później płacząc rzuciła się w objęcia swej przyjaciółki.

— Nie wiesz jak jestem nieszczęśliwą! Czuję, że stoję nad przepaścią, że w niej zginę, a nie mam siły do oparcia się temu nieszczęściu. Dawniej byłam na to obojętną... dziś... o! dziś rozpacz mnie ogarnia, zdaje mi się, że zmysły tracę, że wszystko we mnie zamiera... Oh! moja droga, jestem bardzo... bardzo nieszczęśliwą...

Walentyna załkała, p. Debry nie przypuszczając tak nieprzewidywanego wybuchu żalu, objęła ją za szyję i całując w czoło mówiła ze współczuciem:

— Biedne dziecko, tak młode i niewinne, czyżbyś już znać mogła nieszczęście.

— Tak, znam je i teraz dopiero dowiedziałam się w jak okropnem znajduję się położeniu.

— Teraz dopiero?

— Tak, teraz dopiero — potwierdziła Walentyna, spoglądając z obawą w stronę gabinetu ciotki. — Dawniej przeczuwałam je, dziś widzę jasno co mnie czeka jeżeli poddam się swemu przeznaczeniu.

Panna Debry przybyła do Walentyny właściwie zaniepokojona jedynie jej nieobecnością na wykładach, których była tak pilną słuchaczką. Zastawszy ją zdrową, w najniewinniejszej myśli, chciała troszeczkę pożartować prześladując Józiem, wiedząc że panienki lubią, gdy je posądzają, nawet zaręczone, że się innym spodobały. Dlaczegóż nie miała jej zabawić oskarżeniem o tak niewinne bałamuctwo? W krótkiej tej jednak rozmowie przekonała się z wielkiem zadziwieniem, że tu żartować nie można, że zachodzą jakieś okoliczności zostające w ścisłym związku z przyszłem Walentyny małżeństwem. Jej płacz, boleść tak szczera, widoczne pragnienie zwierzenia się, utwierdziły ją w tem przypuszczeniu. Zapragnęła więc wybadać ukochaną przez siebie pupilkę, pocieszyć, uspokoić i zajrzéć w głąb' jej duszy aby wiedziéć jaką udzielić radę.

Walentyna mówiąc do swej przyjaciółki ciągle płacz tłumiła.

— Uspokój się Walentynko — odezwała się po chwili p. Debry — wiesz jak cię kocham, wynurz mi powody swego cierpienia...

— Oh! tego tylko pragnę, a ty jesteś jedyną przed którą chciałabym nie miéć żadnej tajemnicy.

— A stryjenka?

Walentyna poruszyła się niespokojnie.

— Stryjenkę kocham — odrzekła po pewnej chwili — ale i boję się jej zarazem. Gdybym jej wszystko powiedziała jak czuję, rozgniewałaby się na mnie, a ja tak się lękam jej niezadowolenia.

Nastąpiła chwila milczenia. Panna Debry rozważała, Walentyna tłumiła łzy, ocierając oczy chusteczką.

— Może ci się dziwnem wyda zapytanie — odezwała się wreszcie p. Debry — ale powiedz mi, czy bardzo kochasz swego narzeczonego?

— Czy go kocham? — niemal z przestrachem powtórzyła Walentyna, a po chwili dodała: — boję się go...

— Oh! — mimowoli zawołała p. Debry.

— Gdybyś go tak poznała jak ja go znam, tobyś się temu zupełnie nie dziwiła. Coś mnie od niego odpycha, rozmowa z nim nudzi, towarzystwo męczy i najszczęśliwszą jestem, gdym zdala od niego.

— Jakże mogłaś przyrzec mu oddanie swej ręki?

— To nie ja, to nie ja! — zawołała Walentyna głosem rozpaczy. — Odwołano się do obowiązku względem przeszłości, tradycyi, miłości ojczystej ziemi, i uległam sama nie wiedząc jak się to stało.

Panna Debry zrobiła wielkie oczy.

— A narzeczony czy kocha cię? — zapytała po chwili.

— Na to sama nie wiem jak odpowiedziéć — namyśliwszy się odrzekła Walentyna. — Nie było o tem nigdy między nami mowy, ale teraz zdaje mi się, że i on ulega tylko woli ciotki której się oprzéć nie może.

— Wszystko to dla mnie zupełnie niepojęte — odezwała się p. Debry. — Cóżby ciotkę powodowało do ułożenia związku tak przeciwnego waszemu wzajemnemu usposobieniu?

— Zdaje się jej, że nas uszczęśliwi bo nas bardzo kocha. Mój Boże! tyle od niej odebrałam dowodów prawdziwej miłości, że powątpiewać o tem czyż mogłabym choćby na chwilę. Przyjęłam więc oświadczenie, ale teraz dopiero czuję jak wielki błąd popełniłam...

Panna Debry zrozumiała teraz także o co tu właściwie idzie. Nie przypuszczała tego, co się już stało i bardzo się zaniepokoiła. Położenie jej było nie do zazdrości. Rozstać się z przyjaciółką bez dokładnego zbadania wszystkiego, nie pozwalało przywiązanie do niej: skłonić znów ją do otwartego wyznania jakie przewidywała, było to stać się jej powiernicą w kwestyi tak bardzo drażliwej.

Jedno nie zgadzało się z jej sercem drugie z rozumem, serce jednak w końcu przemogło: Walentyna zapytana, dlaczego teraz dopiero poznała błąd swój przyjmując oświadczenie Zbigniewa, pomału z wielką nieśmiałością, zawstydzona, zarumieniona, rzuciwszy się w objęcia przyjaciółki wyznała, że od chwili jak poznała Józefa o Zbigniewie bez wstrętu nie może nawet pomyśléć.

— Nie łaj mnie moja droga — odezwała się po chwili, nie odebrawszy od przyjaciółki żadnej na to odpowiedzi. — Może to egzaltacya, o jaką mnie stryjenka posądza, ale cóżem temu winna, że się to stało, czegobym nawet przypuścić nie śmiała. Dziś też jestem bardzo nieszczęśliwa... czuję, że tego nie przeżyję, że niepewność dręczy mnie, zabija...

Panna Debry zaczęła Walentynę uspakajać, pocieszać, radziła cierpliwość, uproszenie stryjenki o odwleczenie aktu ślubnego do pół roku, lub roku całego, że przez ten czas nabierze może innego przekonania i małżeństwo ze Zbigniewem nie wyda się jej tak niepodobnem jak to dziś się jej zdaje, albo też od zamiaru dokonania go stryjenka odstąpi. Starała się także niefortunne swoje wyznanie o szczególnem zajęciu się nią Józefa osłabić, nadać mu znaczenie prostej tylko grzeczności.

— Nie wątpię — mówiła — że mu się mogłaś spodobać, ale zanadto ma rozumu, aby bez żadnego jeszcze stanowiska odważył się współzawodniczyć z twoim narzeczonym. Zastanów się tylko moja droga, czyż mógłby zrobić coś podobnego?

— Gdyby był w mojem miejscu nie wahałby się i chwili — szepnęła Walentyna ledwo dosłyszanym głosem.

Panna Debry udała, że tego nie dosłyszała i zaleciwszy staranie panowania nad sobą, pożegnała przyjaciółkę, polecając ją opiece Opatrzności.

Biedna Walentyna! Ostatnia jej nadzieja znalezienia pociechy i rady od przyjaciółki zawiodła. Myśl jej szarpana strasznemi obrazami i przypuszczeniami, błąkała się jak spłoszona ptaszyna, szukająca osłony przed czyhającym na nią drapieżnikiem. Jeżeli pobiegła z nią w przeszłość widziała ją uśmiechającą się marzeniami niewinnej młodości, obecność straszyła ją, przyszłość przerażała. Co robić? pytała sama siebie z głową zwieszoną ku ziemi.

— Panie! ratuj mnie! — wołała wznosząc oczy tam gdzie miliony myśli krzyżuje się i pada z jękiem, błagając o pociechę i miłosiedzie.

Pani Smirska dostrzegła ten rozpaczliwy stan wychowanicy. Zaniepokojona, pojechała natychmiast do panny Debry i naturalnie dowiedziała się bez żadnych osłonek o całej osnowie przeprowadzonej z Walentyną rozmowy. Nie wspomniała tylko nic o Józiu, gdy jednak została niby niechcący o niego zapytaną, cokolwiek zająknęła się i dała odpowiedź nic nie objaśniającą.

Dla p. Smirskiej było to dostateczne i wszelkie dalsze wahanie i zwlekanie uznawszy za niewłaściwe a nawet za niebezpieczne, postanowiła działać dalej stanowczo, pewna że urzeczywistnienie jej życzenia, oboje jej wychowańców uszczęśliwi choć dziś może tego nawet nie przypuszczają. Przykro jednak jej było, że to przychodzi z taką trudnością, że naraża na różne zajścia, wypadki i sceny, które mogą zwracać uwagę ludzi nawet najobojętniejszych i wywoływać sądy bardzo opaczne. Bolała nad Walentyną ale tylko jak nad ciemnym co przez bojaźń leków odrzuca światło, jakie mu dać mają.

Żaląc się też nad jej smutkiem, pocieszając, wystawiając przyszłość w jak najponętniejszych obrazach, pieszcząc, wpajając przekonania wielce jej posługujące, oświadczyła nareszcie w dni kilka, iż terminu ślubu dalej zwlekać nie można i że naznaczyła go na dzień rocznicy swych własnych zaślubin, aby nowożeńcy byli tak szczęśliwi jak ona w małżeńskiem pożyciu.

Walentyna struchlała, głos jej zaniemiał, chciała coś przemówić, ale tylko poruszyła ustami.

— Nie dziwię się twemu wzruszeniu — rzekła pani Smirska. — Jest ono bardzo naturalne...

— Moja stryjeneczko — jęknęła wreszcie Walentyna, ale p. Smirska przybliżyła się do niej, objęła uściskiem i całując w czoło rzekła:

— Moja kochanko, tylko pamiętaj odrzucać od siebie wszelkie porywy egzaltacyi a trzymać się rozumu, nic więcej tylko czystego rozumu, bo z egzaltacyą na pierwszym kroku w życiu potkniesz się i ugrzęźniesz bez nadziei wydobycia się.

Na drugi dzień rano Zbigniew w swem mieszkaniu, łączącem się z mieszkaniem ciotki, siedział przy herbacie i palił cygaro.

Przed nim leżała jakaś książka po której przerzucił czasem pobieżne spojrzenie, częściej spoglądał na dym tytuniowy błąkający się w promieniach słonecznych, a czasem znów zamyślił się ale jakoś nie wesoło bo brwi marszczył i czoło chmurzył.

Lokaj Józef kręcił się po pokoju porządkując. Dworus, kuty na cztery nogi, sprytny jak mało, umiejący podsłuchać, podpatrzéć, tu wybadać tam domyśléć się, tego okłamać a tamtego spotwarzyć, z kozła zrobić barana, miał jak to mówią furę wiadomości, ale nie wiedział z jakiej rozpocząć beczki, aby pana zadowolnić a broń Boże nie sprawić mu jakiej przykrości. Zbigniew nic na niego nie zważał, Józef spoglądał z ukosa, chrząknął wreszcie głośniej niż zwykle i stuknął jakimś gracikiem cokolwiek hałaśliwiej.

— A ty co tam dokazujesz? — zapytał Zbigniew, nagle zwracając się do swego powiernika.

— Ej! nic jaśnie panie, to tak z irytacyi.

— A cóż cię tak zirytowało?

— Nie wiem jak to opowiedziéć...

— No, no, wiesz że ceregieli nie lubię.

— Oto coś się u nas w pałacu dzieje tajemnego a ja dojść tego nie mogę. Trzy dni temu jak była ta guwernantka Angielka, to panna Walentyna uradowała się tak, że ją o mało w ręce nie ucałowała. Potem gadały długo, ale co tego nie wiem, bo rozmawiały po angielsku. Słyszałem tylko imię jaśnie pana kilka razy wymówione. Panna Walentyna płakała a Angielka ją ściskała, całowała, a jak jaśnie pani potem zobaczyła pannę Walentynę z oczami podpuchłemi, tak zaraz pojechała do Angielki.

— No i cóż dalej? — zapytał Zbigniew widząc, że Józef nagle zamilkł.

— Oto proszę jaśnie pana — odrzekł Józef głos przyciszając — lokaj na pensyi gdzie panna Walentyna jeździła, powiadał mi, że ten młody profesor, krewny podobno jaśnie pana, pan Józef Długosz zakochał się w pannie Walentynie i oświadczył się jej...

— Kto taki? — nagle zapytał Zbigniew.

— Pan Józef Długosz...

— Cóż to za jeden?

— Jakiś młody uczony niedawno przybyły z zagranicy. Powiadają, że to przyczepka jakaś boczna...

— Aha! i zowią go Długoszem?

— A tak jaśnie panie, po łekcyi zawsze się przysiadał do naszej panienki, rozmawiali tylko z sobą, patrzyli tylko sobie w oczy, uśmiechali się, coś szeptali...

— I cóż więcej? — zapytał Zbigniew, udając, iż opowiadaniem Józefa nie wiele się zajmuje.

— Raz — ciągnął dalej Józef — to proszę jaśnie pana, sam widziałem jak ten pan szedł po drugiej stronie ulicy i przystanąwszy długo wpatrywał się w okna naszego mieszkania.

— Czy wtenczas oświadczył się?

— Jaśnie pan żartuje, a ja tylko to powiedziałem co ludzie mówili i co sam widziałem. Jużcić w tem być coś musi.

— A jest coś, rzeczywiście, wasza głupota i nałóg plotkarstwa...

Józef nic na to nie odrzekł, domyślił się tylko, że pan jego chce, aby wieści udzielone za takie uznane zostały.

Zbigniew przeszedł się po pokoju, przystanął przy oknie, potem przy stoliku i kazawszy podać rzeczy do ubierania rzekł:

— Dobrze, że mi opowiadasz to co tam między sobą pleciecie wysmażone w waszych pustych muzgownicaah, ale wiesz, że nie lubię tego, aby to co wypatrzycie lub podsłuchacie przechodziło zaraz z ust do ust i rozbiegało się po całym świecie. Rozumiesz?

— Rozumiem, jaśnie panie.

Wiadomość ta choć się Zbigniewowi wydała przesadzoną w swem znaczeniu, uznał jednak, że zupełnie bezzasadną być nie mogła, że istotnie zaszło coś takiego co ją usprawiedliwia. Poruszyła go nie domniemana zdrada Walentyny, ale obraza miłości własnej i na samo przypuszczenie, że ktoś nieznany mu, jakiś najemny papla naukowy, przyczepka boczna do jego nazwiska, jak się Józef wyraził, mógł we względach Walentyny wziąć nad nim pierwszeństwo, oburzył się i postanowił natychmiast rozmówić się z ciotką.

Panią Smirskę plotka ta również rozgniewała, ale opierając się na wiadomościach powziętych od p. Debry, przypisała powstanie jej brakowi taktu Walentyny w znajdowaniu się w obcem dla siebie towarzystwie.

— Znasz jej zapał — rzekła — do wszelkich rozpraw. Uniesiona nim poddała mu się zbytecznie, to jako niewłaściwe zwróciło większą uwagę a złośliwość ludzka usnuła z tego plotkę, przerobioną na prawdziwego potwora przez gawiedź przedpokojową. Aby uniknąć w przyszłości powstawania podobnych awantur, dzień ślubu waszego już oznaczyłam i Walentynę zawiadomiłam o tem. Bądź spokojny i na podobne drobnostki nie zwracaj nawet uwagi. Walentyna jest młodziutka, trochę egzaltowana, ale zna swoją godność i stanowisko i nigdy nie zboczy z drogi, której kierunek w nią wdrożyłam.

Zbigniew na tem wyjaśnieniu poprzestał zupełnie, ale nie mógł strawić poniżenia jakie go spotkało i do nieznanego sobie Józia powziął nienawiść nieubłaganą. Postanowił jednak nie dać niczem poznać Walentynie, tego co go tak obruszyło.

Nie spotkał się jednak z nią ani tego dnia, ani następnego, a gdy spytał o powód nieobecności, ciotka powiedziała, że jest cierpiącą na głowę i z pokoju zupełnie nie wychodzi.

Wstrząśnienie moralne rzeczywiście na stan jej zdrowia szkodliwie oddziałało. Rozwinęła się gorączka, przywołany lekarz nie dostrzegł nic niebezpiecznego, ale przepisał odpowiednie lekarstwo i zalecił największą spokojność, aby chorej niczem nie drażnić.

Zbigniew codziennie po kilka razy dowiadywał się o stanie zdrowia narzeczonej, wypytywał się o najdrobniejsze szczegóły jej dotyczące, oświadczył nawet chęć czytania jej świeżo wyszłych dzieł z jakiemi zapoznaćby się pragnęła, co jednak acz z największą grzecznością nie zostało przyjęte.

Po dopełnieniu tych formalności etykietalnych Zbigniew po za domem prowadził jak zwykle swój żywot burzliwy.

Zosia Bardzka w porywie miłosnych płomieni dla niego, doszła do najwyższego punktu z którego wzlecić wyżej brak skrzydeł nie pozwala a ustać na miejscu niepodobna. Zbigniew szalał także za nią, ale już coraz rozważniej, coraz oględniej, nie tając nawet ułożonego małżeństwa z Walentyną. Raz przejeżdżając ulicą przy której znajdowała się szkółka Maryni, spostrzegłszy szyld, kazał zatrzymać się woźnicy i odprawiwszy powóz do domu, wszedł do kamienicy. Była to godzina południowa, chwila ukończenia nauki z dziećmi. Marynia znajdowała się sama, zajęta przeglądaniem zadań swoich uczenic, gdy nagle wszedł Zbigniew. Spostrzegłszy go przestraszona, nie wiedziała co zrobić z sobą, jak postąpić wobec tego, który tyle jej przyniósł wstydu i boleści.

— Ah! to prawdziwa dla mnie niespodzianka— odezwał się Zbigniew z wielką uprzejmością — że panią tutaj spotykam. Przypadkiem znalazłem się w tych stronach i zobaczywszy szyld szkolny, zapragnąłem przyjrzéć się osobiście tej gromadzce dziatwy biednej, której pani z takiem zamiłowaniem i poświęceniem otwierasz główki na światło wiedzy i bogacisz je nauką. Żałuję, że tak źle trafiłem, pozwoli jednak pani, że korzystając z tak szczęśliwego spotkania, cokolwiek się z nią rozmówię w tym przedmiocie. Zawiązaliśmy bowiem w prywatnem naszem kółku, towarzystwo opieki na szkółkami, radbym zatem i pani szkółkę podciągnąć pod nasz nadzór, zasilić ją pomocą w książkach i przyborach naukowych.

— Wdzięczną panu jestem — odezwała się wreszcie Marynia, zobaczywszy że Zbigniew usiadłszy na jednej z ławek nie myśli jej prędko opuścić i zabiera się do zapalenia papierosa — ale w tej chwili jestem sama i zajęta pracą...

— Malutką chwilkę czasu może mi jednak pani poświęcić. Będę się starać być jak najmniej

nudnym a jak najwięcej treściwym, zapewniam panią.

— Ah! Boże, mój Boże! — zawołała Marynia podsuwając się ku drzwiom, przy których tuż siedział Zbigniew, jakby na straży żeby się niemi nie wymknęła.

— Racz mnie pani objaśnić—odezwał się Zbigniew niby naturalnie zupełnie powstaniem z siedzenia zagradzając jej wyjście i zapalając zapałkę, ale w tej chwili wszedł do szkoły Józio, którego przybycia Marynia spodziewała się.

Zbigniew obejrzał się, zmierzył oczami przybyłego i zwracając się do Maryni, mówił dalej:

— Otóż racz mnie pani objaśnić, czy naukę prowadzisz metodą poglądową, obecnie wszędzie zagranicą uznaną za najlepszą, czy też według dawnego systemu, którybym nazwał pamięciowym? Jest to rzecz...

— To pana najlepiej objaśni mój brat — odrzekła Marynia wskazując na Józia.

— Brat pani? — powtórzył Zbigniew, podając rękę Józiowi, mówił dalej: — bardzo mi przyjemnie poznać pana, jestem Zbigniew Długosz, chreczkosiej z pod Zwolenia...

— Józef Długosz — odezwał się Józio, wzajemnie przedstawiając się.

— Józef Długosz, więc mój imiennik?

— Tak panie.

— Czy czasem nie krewny owego uczonego młodego prelegenta, którego pochwałami brzmi cała Warszawa?

— Ja sam nim jestem — odrzekł Józio z zadowoleniem, schwytany na wędkę pochlebstwa—ale jeszcze...

— Ah! jakże się cieszę tak miłem dla mnie spotkaniem — zawołał Zbigniew wstrząsając rękę Józia niby z wielką serdecznością, ale i z równą siłą, jakby mu ją wyrwać chciał z ramienia. — Wykłady pańskie naukowe powszechnie były chwalone, publicznego sam wysłuchałem i byłem nim zachwycony. Pragnąłbym w tym przedmiocie obszerniej się także rozmówić, może więc pan raczy naznaczyć dzień na to odpowiedni czy u siebie w domu, czy u mnie w mieszkaniu, a będę mu wielce obowiązany i wdzięczny niewymownie. Teraz jednak z żalem opuścić państwa muszę, bo przypomniałem sobie w tej chwili ważne zajęcie jako protokulista dam miłosierdzia, które za godzinę mają się zebrać u mojej ciotki pani Smirskiej. Panie zaś są bardzo wymagające i wszelkie zaniedbanie karcą bardzo srogo.

Przy wyjściu Zbigniew z uśmiechem pełnym uprzejmości, ukłonił się Maryni, Józefowi ścisnął rękę, zapewnił jeszcze raz o zadowoleniu z poznania go i ponowił prośbę o zawiadomienie kiedy będą się mogli z sobą spotkać na czas dłuższy, bez żadnej już przeszkody.

Cała ta scena, wszystkie w niej tak szczodrze rozsypane grzeczności i pochlebstwa, była tylko zręcznem wymotaniem się z położenia dość niewygodnego.

Józio jednak w pierwszej chwili wziął to za dobrą monetę, Marynia była jak odurzona. Nie wiedzieli, że są ludzie, którzy zręczność w maskowaniu się tak dalece wydoskonalili, iż umieją przymilać się do tych których radziby w łyżce wody utopić, mówić czego nie myślą, uśmiechać się gdy gniew nim miota, chwalić nawet monstrum, gdy tego potrzeba, prosić o to czego zupełnie sobie nie życzą, słowem kłamać wszystkiem, mową, spojrzeniem, gestami, byle nie wydać się z tem co wewnątrz nich burzy. Zbigniew pod tym względem był typem doskonałości, umiał się zawsze sprzedać tak jak pragnął, a potem śmiejąc się drwił ze świata i oszukanych.

Na drugi jednak dzień nowa zaszła niespodzianka.

(D. c. n.)

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

(Dalszy ciąg.)

Gdy się to działo i gdy książę Jan, w obecności Żędziana w rozmównicy klasztornej pożegnał się z Małgosią; u furty klasztornej pp. Brygidek stanął znany nam Michał Powała, prosząc aby mógł się widzieć i rozmówić z jejmościanką panną Małgorzatą. Życzeniu temu stało się zadosyć i niebawem w rozmównicy, Powała znalazł się naprzeciw Małgorzaty stojącej po za kratą zakonną.

— Wybaczcie mej śmiałości, — odezwał się po chwili Powała, obracając z zakłopotaniem czapkę którą trzymał w rękach — lecz wyjeżdzając jutro do Warszawy, nie mogłem przenieść na sobie, aby waszmość pannie nie pokłonić się i...

— Wdzięczną wam jestem za tę pamięć, — przerwała Małgosia — i życzę, aby Bóg prowadził waszmościa szczęśliwie!

— Dałby Bóg, — odparł Powała, zbliżając się tuż do kraty — ale choć z podróży, przy pomocy Bożej szczęśliwie powrócę, życie moje w czarnym smutku, powoli wlec się będzie!

— Dlaczegóż to tak grzeszne myśli oplątują waszmości swą siecią? Wszak w Bogu pokładanej nadziei, nigdy tracić nie należy!

— Tak, zaiste, lecz cóż kiedy wszelka nadzieja odwróciła się ode mnie! Miłościwa panno Małgorzato wy nie wiecie ile ja cierpię, jak ja was miłuję!

— Wdzięczną wam jestem za ten afekt serdeczny, — odparła rumieniąc się Małgorzata — lecz czemże ja się zań wam odpłacę? Szanuję was i poważam jak brata z którym pod okiem ciotki spędziłam wiek dziecięcy, który zawsze i wszędzie był mi życzliwym przyjacielem i doradcą, lecz...— i nagle przerwała, a po chwili z wielką nieśmiałością mówiła dalej: — Wiem, że gorącym życzeniem rodzica mego było, a i jest może jeszcze, abym wam rękę moją oddała, lecz wierzajcie mi, że złą dla was byłabym żoną, bo... bo...

— Miarkuję wszystko, nie kończcie swej mowy, — odezwał się młodzieniec. — Zdało mi się, że kiedyś... pomału... ale co tam, — dodał machnąwszy ręką — stało się już! widać że taką była wola Boga, który niech was ma w swej świętej opiece i zlewa na was wszelkie swe łaski i dobrodziejstwa. Pozwólcie jednak bym tłumiąc w sobie kochanie, jako wierny przyjaciel mógł czuwać nad wami i chronić od nieszczęścia, jakie by wam kiedykolwiek zagrażać mogło.

— Bóg zapłać wam mości Michale, — odparła Małgorzata drżącym od wzruszenia głosem — za te szczere życzenia. Zawsze w wdzięcznej pamięci zachowam ten afekt wasz i ofiarowaną mi przyjaźń braterską. Bóg z wami! idźcie i nie krwawcie mi serca mymówką niewdzięczności!

Tu Małgorzała zamilkła, a obtarłszy rąbkiem łzy na licach perlące się, przez kratę podała Michałowi rękę, którą tenże z wielkiem czuciem ucałował.

VII.

Jak to zwiastowały sejmiki niedawno odbyte, sejm konwokacyjny rozpoczął się bardzo burzliwie. Zborowscy wystąpili jawnie przeciw Zamojskiemu, a mając za sobą Górkę, Herburta, Jazłowieckiego, Czarnkowskiego i innych, oraz przeciągnąwszy na swą stronę zniedołężniałego siedmdziesięcioletniego starca Karukowskiego, prymasa i arcybiskupa gnieźnieńskiego, byli pewni, że tak sejmem elekcyjnym jakoteż i samą elekcyą z łatwością pokierują wedle swej myśli i pragnień. Inaczej jednak się stało, bo oto Jan Sulikowski arcybiskup lwowski, który przed samem rozpoczęciem konwokacyi, za króla Stefana jeszcze do Rzymu wysłany, z poselstwa swego powrócił, i Marcin z Obór Leśniowolski kasztelan podlaski, stanąwszy energicznie w obronie napastowanego kanclerza, pomimo że się narażali na śmierć niechybną, którą przeciwnicy grozili, poparci nadto przez Opalińskiego marszałka, Baranowskiego podkanclerzego i biskupa Przemyskiego, Dulskiego podskarbiego i Żółkiewskiego późniejszego hetmana, po długich i zaciekłych sporach i swarach, sprawili, że idąc za prawem wydanem przez Zygmunta I-go nic innego nie stanowiąc w dniu 7 marca 1587 roku, wyznaczono ostatecznie trzydziesty czerwca, w którym odbyć się miała elekcya.

Nadszedł nareszcie dzień tak upragniony, Zborowianie idąc w myśl cesarza Rudolfa II, który nie szczędził pieniędzy na poparcie dążności, aby jeden z braci jego zasiadł na tronie polskim, ze zbrojną ręką w dziesięć tysięcy wojska stanęli na placu elekcyjnym usiłując gromadzącą się szlachtę nakłonić, aby za Maksymilianem arcyksięciem austryackim głosowała. Przybył także i Zamojski, lecz omylony w nadziei przybycia Jerzego Farensbacha wojewody Wendeńskiego, z małą jednak dobrze wyćwiczoną garstką ludu zbrojnego, i przyjaciołmi takiemi jak Tęczyński wojewoda Krakowski, Stanisław Szafraniec z Pieskowej Skały wojewoda Sandomierski, Stanisław Żółkiewski wojewoda Ruski, Radziwiłł wojewoda Wileński i t. d., a idąc za wskazówką marszałka Opalińskiego, stanął obozem między Powązkami i folwarkami, gdy tymczasem Zborowianie pod Tarczynem i Powsinem, obóz swój mieli rozłożony.

Zanosiło się już na wojnę domową, starali się też usilnie Zborowianie, aby rokosz powszechny wywołać, lecz ani senat, ani też pod Kamionkami stojąca Litwa, pod żadnym pozorem nań przystać niechcieli. Dla zapobieżenia możliwemu krwi rozlewowi, senat uchwalił, aby przeciwne sobie strony na pole elekcyi, ani razem, ani też zbrojno nie przychodziły. Ta uchwała popsuła wielce szyki tym wszystkim, którzy sami dla siebie o koronę ubiegać się chcieli, a nawet i Andrzej Batory utracił ochotę starać się o nią. Litwa zawarłszy przymierze z Fiedorem Wasilewiczem, pragnęła aby on był obrany królem, królowa wdowa zaś zalecała siostrzeńca swego Zygmunta królewicza swedzkiego a syna Jana III i Katarzyny Jagiellonki. Obietnica przyłączenia Estonii do korony, zjednała wielu stronników, niezważających na to, że tak król ojciec, jako też i syn jego, stanom szwedzkim uroczyście przyrzekli, że przy-

jęcie korony polskiej prawom dziedzicznym państwa, bynajmniej uwłaczać nie będzie. Po wielu sporach i układach prowadzonych z legatami szwedzkiemi Erykiem Brahe i Erykiem Spare, i dzięki staraniom królowej Anny, jakoteż wspomnieniom na krew Jagiellonów, utorowaną została nakoniec Zygmuntowi III droga do korony.

Partye przeciwne Zborowskim złączyły się teraz wygodnie, a gdy Jan Zamojski stanął na czele i prymas nawet skłonił się ku partyi Zygmuntowej, mimo że dotąd przez względy na Papieża trzymając ze Zborowskiemi przychylnym był domowi austryackiemu, w dniu 19 sierpnia 1587 roku, Żygmunt III przez prymasa, za zgodą panów braci szlachty wobec bardzo nielicznego już stronnictwa Zborowianów, królem polskim okrzyknięty został. Takim wynikiem elekcyi, wielce niezadowoleni Zborowscy w trzy dni później, licząc w partyi swojej zaledwo pięciu tylko senatorów odbyli ponowną elekcyą i Jakób Woroniecki, biskup nominat Kijowski okrzyknął Maksymiliana królem polskim.

Wskutek też tego Zborowianie aczkolwiek nieliczni lecz bliżsi wsparcia z Niemiec, gotować się poczęli na sprowadzenie swego Elekta, który w Ołomuńcu czekał na przybycie posłów, zaprosić go mających na tron polski.

Zamojski, zaraz po dopełnionej elekcyi, ruszył ze swemi wojskami do Krakowa i nim się Zborowianie opatrzyli i zdołali zająć Wiślicę, aby przeszkodzić zebraniu się sejmu koronacyjnego zwołanego na dzień 5 października 1587 roku, zajął prastarą stolicę państwa i wszystko przygotowywać począł na przyjęcie króla, który dnia 11 października odebrawszy dyplom elekcyjny ruszył do Krakowa.

Wyparowani z Wiślicy Zborowianie, mimo uchwały sejmowej potwierdzającej elekcyą Zygmunta III, pod Mogiłą złączyli się z nadciągającemi wojskami niemieckiemi, prowadzącemi arcyksięcia na tron polski. Daremne jednak były pokuszenia Maksymiliana, bo odparty od Krakowa, w dniu 25 listopada pobity pod Biskupim, cofnąć się musiał aż do Częstochowy. Przez te zwycięztwo otwartą została Zygmuntowi III droga do Krakowa, gdzie też w dniu 27 grudnia odbyła się koronacya.

Po ukończonych uroczystościach koronacyjnych Zamojski z wojskami wyruszył przeciw Maksymilianowi, który teraz jeszcze sądził, że tak upragnioną koronę pozyska, lecz stało się inaczej, bo party przez wojska Zamojskiego, musiał się cofnąć aż na Szlązk, rozumiejąc, że hetman dalej już na ziemi austryackiej, ścigać go się nie odważy.

Gdy to się działo na widowni politycznej, Zborowscy dążąc pod Wiślicę i usiłując do Krakowa ciągnącego Zygmunta III pod Przedborzem pojąć w niewolę, wysłali zpod Warszawy jeszcze ku Lublinowi i Zamościowi, na czele dobrze okrytego hufca Stanisława z Łańcuta Stadnickiego, zwanego „Dyabłem", który zajmując tę część kraju w imieniu Maksymiliana, na Sandomierz zdążał pod Kraków na koronacyą, jaką tam miał odbywać Maksymilian.

W pochodzie, plądrując i niszcząc stronników Zygmunta III, wpadł Stadnicki i do Lublina a to dlatego, że przypomniawszy sobie nadobną Małgosię i okup jaki na Lublin nałożyć zamierzył, porwać ją zapragnął.

W dniu w którym Stadnicki stanął taborem pod murami Lublina i zawezwał mieszczan do złożenia okupu, oraz hołdu królowi Maksymilianowi, Brzozka, który przez ciąg elekcyi pozostał w Lublinie, dowiedziawszy się, że Małgorzata od owej pamiętnej nocy, w której porwanie jej spełzło na niczem, przebywała w klasztorze pp. Brygidek, postanowił dopełnić ostatniego zamachu na jej wolność. Jakoż porozumiawszy się z Elą Abrahamowiczem oraz wywiedziawszy się dokładnie, którą celę w klasztorze Małgorzata zajmuje i mając od przekupionej posługaczki klasztornej zapewnienie, że podziemnem przejściem przez groby będące pod kościołem, ułatwiając porwanie Żędzianki, wpuści go do klasztoru, z nadchodzącym zmierzchem pospieszył do wąwozów Wrotkowskich, gdzie przodem wysłana kolebka wraz ze zbrojnym pocztem na Brzozkę i jego ofiarę oczekiwać miała.

Przybywszy w oznaczone miejsce Brzozka i jego towarzysze zostali wyczekującą ich przybycia, Motrunę wspólniczkę spełnić się mającej zbrodni.

— No i cóż stara, — zawołał Brzozka spostrzegłszy oczekującą — czy tylko nie wprowadzisz ty nas w jaką zasadzkę? Ale pamiętaj, gdyby tak było, to łeb twój roztrzaskam ci tym buzdyganem!

— Co też mówicie, miłościwy panie! Jeżeli wam służę to nie dla zarobku, — odparła stara Motruna — ale z litości nad tem niebożątkiem, zmuszonem żyć w klasztornej norze jak kret w podziemiu. Patrzeć na to biedactwo to aż litość bierze, serce rwie się w kawały jakby je kat szarpał kleszczami...

— No, dobrze, dobrze, skończ swe żałosne jęczenie, — przerwał Brzozka — bo szkoda czasu tracić na nie.

— Zapewne, że szkoda,—odrzekła stara, zwracając się ku zaroślom pokrywającym wschodni stok wąwozu — spory kawał drogi przebyć mamy nim się dostaniemy do piwnic kościelnych. A być tam musimy przed północą, bo z pierwszym kurem wielebne panny podążają do chóru na modlitwy poranne! Aj, aj! święteć to osoby, te moje dobrodziejki, niech im Bóg da zdrowie w jak najdłuższe lata, a po śmierci koronę niebieską! Powiadam waszej miłości, że życie całe płynie im tylko na modlitwie, a wszystkie takie dobre, potulne i miłosierne! Ot i mnie przygarnęły do siebie, nakarmiły, odziały, dały ciepły kącik na schronienie, tylko jakoś mi tęskno za światem i radabym się wyrwać razem z Małgosią z tej klasztornej uwięzi.

— No, dalejże w drogę stara trajkotko, przestała byś mleć językiem, — przerwał Brzozka — a przyspieszać kroku, aby przed świtaniem zdążyć na miejsce!

— Ha, no! to idźmy, tylko czy macie z sobą pochodnie, bo tam ciemno, zwykle jak w grobie, a kto nie zna drogi to i zabłądzić może i niewyszedłby ztamtąd aż chyba na sąd ostateczny. Ze mną możecie nie bać się tego.

Mówiąc to Motruna, odchyliła poplątane gałęzie tarniny i oczom Brzozki ukazała się czarna jama zagłębiająca się pochyło ku wnętrzu ziemi. Wejście do tej pieczary było wązkie i tak nizkie, że chcąc się dostać do wnętrza, trzeba było zgiąć się prawie we dwoje, a zstąpiwszy po kilku kamiennych wschodach, można było dopiero się wyprostować.

Brzozka i jego czterej towarzysze spuścili się do pieczary podążając za Motruną, a gdy uszli już parę kroków wązkim podziemnym korytarzem wykutym w grubej warstwie tłustej gliny, Motruna dała znak, aby zapalono pochodnię. Czerwony blask płonącej pochodni oblał podziemię.

Motruna pomimo znacznie już posuniętego wieku, mrucząc i rozglądając się, szparko podążała korytarzem o znacznie pochyłej płaszczyźnie. Tak uszedłszy w milczeniu paręset kroków, nagle Motruna zatrzymała się a zwracając się do tuż za nią idącego Brzozki i wskazując na lewo oddzielające się drugie ramię podziemnego korytarza rzekła:

— Tędy wyjść można na Czechów i do kaplicy św. Krzyża! Może wam się kiedy przyda na co ta wiadomość! Oj, znam ja tu dobrze każde miejsce. Ot naprzykład w tym korytarzu, na prawo, były niegdyś wrota żelazne, zamykające przejście po pod Bystrzycę, lecz dziś wrot tych już nie ma, a i przejście ono zapadło się!

I znowu ruszyli wszyscy zapuszczając się coraz głębiej w podziemie. Ziemia po której postępowali, tak jak i ściany korytarza były suche, powietrze tylko było zaduszne i przesiąknięte stęchlizną, która coraz bardziej się wzmagała, świadcząc jak mało uczęszczane i przewiewane były te miejsca. Idąc tak dalej przy jaskrawym blasku pochodni, Brzozka nie bez pewnej grozy rozglądał się na wsze strony, a groza ta jeszcze większe rozmiary przybrała, gdy Motruna zatrzymawszy się w milczeniu wskazała mu bezładnie rozrzucony stos kości ludzkich, nad którym pochylało się pare szkieletów opartych o ściany pieczary.

— Dalej, dalej! — szepnął Brzozka, jakby się lękał własnego głosu. — Cóż są to za kości?

— A cóż, wieki one tu leżą, — odparła Motruna — pono za czasów, kiedy to jeszcze Tatarzy na Lublin napadli, schroniła się tu część mieszkańców grodu, a zabłądziwszy w podziemiach z głodu wymarli. Gdy zaś Tatarzy gród zdobyty opuścili i pozostali w mieście przy życiu, spostrzegli brak wielu mieszkańców jego, tak sądzili, że Tatarzy uprowadzili ich w jasyr, gdy tymczasem ci biedacy niemal pod ich stopami głodową śmiercią ginęli! A, ot tym korytarzem, dostać się można do kościoła św. Ducha, a ztamtąd i dalej jeszcze ponoś, aż na Czwartek! Oj straszno tam w tym korytarzu, pełno kości a i całych kościotrupów. Biedacy i oni to głodem zmorzeni pomarli, nieznani i zapomniani przez wszystkich!

(D. c. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 września 1883 r.

Trudne dziś zadanie sprawozdawcy. Nie pora już mówić o letnich modach, które co chwila wpadają nam w oko, na jesienne jeszcze zawcześnie, zwłaszcza w tym roku, kiedy wrzesień nierównie cieplejszy od czerwca i lipca. Mimo to Paryż dostarczy zawsze nowych przedmiotów do zapisania. Cudzoziemcy zaczynają tu napływać, powracając od wód i od kąpieli morskich. Często też spotykamy już po magazynach, przygotowane dla nich zapasy. Uważaliśmy naprzykład bardzo praktyczne jesienne kostiumy z gładkiej serży angielskiej, w kolorach ciemno granatowym i ciemno oliwkowym. Kostium taki składa się z fałdowanej spódnicy, zaprasowanej, i z tuniki tworzącej z przodu rzęsistą draperyę w rodzaju fartuszka, z tyłu zaś nabufowanej fantastycznie.

Do takiego kostiumu, stanowi nowość, okrywka niezbyt długa, z tegoż samego materyału, z tyłu wcięta do stanu, z pelerynką, która tworzy zarazem rękaw. Pelerynka otwarta w tyle, przytwierdzona do boków, zaszyta na ramionach, przystaje ściśle do figury. Zwykle ją podbijają fularem w jaśniejszym odcieniu, zarówno jak i całą okrywkę.

Gładka serża angielska, powszechnie będzie używana tej zimy. Wprowadziła ją w modę księżniczka Beatrix, córka królowej Wiktoryi. Przez cały ciąg pobytu jej w Aix w Sabaudyi, widywano ją tylko w podobnych kostiumach, koloru granatowego, brązowego lub ciemno zielonego.

Do modnych okrywek należą również tak zwane *dulietki*, przymarszczane w tyle, z przodu lekko puszczone, niekiedy przewiązane wstążką na wielkie pukle. Moda ta upowszechniona od lat trzech mimo to większej niż kiedy używa dziś wziętości.

Całą odmianę stanowi w niej materyał z jakiego okrywka wyrobiona. Dziś przyjęto powszechnie tkaninę wełnianą czarną, broszowaną w deseń zwaną indyjskim *lampasem*. Podszewka do niej czarna lub kolorowa.

Do częstego ubrania, czy to w pokoju, czy na ulicę, bardzo używane żakietki z czarnego lub też z ciemnego sukienka, gładkiego albo w drobne prążki tegoż koloru. Te żakietki przystają zupełnie do figury. Jedne zapinają się na dwa rzędy szmuklerskich guzików, inne całkiem otwarte z przodu, przez otwór wygląda kamizelka, a częściej jeszcze bufowana koszulka, z materyału odpowiedniego do spódnicy. U zapiętych żakietek, rękawy takież same, u otwartych zaś, takie jak koszulka. Garnirunek ich cały, stanowi gładko naszyta pletnia jedwabna.

Śmierć hrabiego Chambord, okryła żałobą wielką część arystokracyi francuzkiej. Widzieliśmy też w magazynie *Petit Saint Thomas*, czarne suknie przygotowane dla pań z przedmieścia St. Germain, ponieważ i bez żałoby, kolor czarny najmodniejszy w tym roku, dajemy tu ich szczegółowy opis.

Pierwszy kostium wizytowy: Spódnica z gładkiego *poult de soie*, cała zakładana w szerokie podwójne kontrafałdy. Na to tunika czyli Polka, z tkaniny wełnianej w wielki broszowany deseń. Przody spięte poniżej stanu, na spięciu szeroki żabot z odwracanej błądyny hiszpańskiej. Niżej poły rozchodzą się do tyłu, gdzie tworzą bufiastą draperyę. Rękawy szerokie, pagody, ogarnirowane czarną błądyną. U szyi kryza błądynowa.

Drugi kostium z ciężkiej materyi *Gros de Tours*. Spódniczka zakończona wolantem w szerokie kontrafałdy, na to idzie druga z błądyny hiszpańskiej, krótsza o ćwierć łokcia od pierwszej.

Dopełnia kostiumu, tunika z *Gros de Tours*, tworząca z przodu namarszczony feston, z tyłu puff ułożony fantastycznie, spuszczony aż do dołu. Po nad tym puffem, nagarnirowany wolant z błądyny hiszpańskiej, odwracanej cztery razy *en cocquille*, tworzy szerokie karoczko. Stanik długi, przybrany z przodu plisowaną draperyą w formie chusteczki. Rękawy do łokcia, zakończone ruszą błądynową, takaż rusza otacza szyję.

Trzeci kostium, z materyi w pasy, przerabiane aksamitem w drobne listki. Spódnica do ziemi zakończona wązką falbanką z materyi *poult de soie*. Nad tem wolancik koronkowy. Powyżej ciągną się rzędem słupki i tworzą drabinkę wysoką prawie do kolan. Słupki te ułożone z koronki odwracanej *en cocquille*. Tunika tworzy z przodu feston nakształt fartuszka, w tyle draperyą, od której końce spuszczają się na wolant. Tunika ta nie ma żadnego garnirunku. Stanik do tego francuzki, ogarnirowany u dołu rzęsistą ruszą. U szyi takaż rusza, przeciągnięta z obu stron, łącząca się u pasa, z pośród niej wygląda plastron z gładkiego aksamitu. Rękawy krótkie do łokcia, zakończone też ruszą. Modele te można zastosować i do kolorowych sukien.

W pośród kolorowych materyi, najwięcej widać mienionych, naprzykład kolor ceglasty z popielatym lub oliwkowym, miedziany z rozmarynowym lub ciemno szafirowym, brązowy ze złotym i tam dalej.

Rzęsiste fryzy, wracają znów do mody. Miejsce krawatek, zastępują plastrony z aksamitu, atłasu lub gazy kolorowej, ujęte jakby w ramę, w ruszę koronkową białą. Niekiedy znów tę ramę stanowi, błądyna czarna zahaftowana dżetem, naszyta gładko po bokach plastronu i przeciągnięta koło szyi.

W kapeluszach nie widać dotąd wielkich odmian. Uważaliśmy jednak jesienne kapotki z ciężkiej materyi broszowanej. Główka u nich tworzy nabufowaną bramkę, z małym fałdowanym karczkiem. Rondko wązkie, także nafałdowane, objęte paciorkami z dżetu. Po nad rondkiem przeciągnięta wstążka *gros grin*, służy do związania pod brodą. Pęczek piór strusich wpiętych z boku, zręcznie dopełnia całości.

W sposobie czesania wielka panuje rozmaitość, ogólny charakter ściśle jednak określony. Głowa uczesana modnie, powinna mieć kształt zwężony po bokach, a mocno podniesiony nad czołem. Wszystkie włosy zbierają się w górę, ale nie wiążą. Przekręcone silnie, przytwierdzają się szpilkami i układają w fantastyczne pukle na wierzchu głowy. Te pukle, przepinają zwykle szyldkretowym grzebieniem, lub też dwoma małemi grzebieniami. Używają też do ich przypięcia wielkich szpilek szyldkretowych, w rozmaitym kształcie. Loczki, lub kręte natapirowane strzępki przysłaniają do połowy czoło i zachodzą na skronie, w ogólności skroń mniej dziś odkryta, niż bywała w ostatnich latach. Karbowane nioby *bandeaux* używane też, ale muszą być nasunięte na czoło i płasko przylegać do głowy. Wiele Paryżanek, aby uniknąć zachodu, zczesuje po chińsku wszystkie włosy do góry, a loczki lub strzępki fałszywe przypina z wierzchu, ukrywając brzeg ich pod puklami. Nie radzimy używać tego sposobu, raz że to nie ukryje się nigdy przed okiem, bo martwe włosy nie mają żywotnego połysku, a potem fałszywa ta fryzurka wyciera bardzo nasze włosy, moda prędko przeminie, a czoło ogołocone trzeba już zawsze, osłaniać sztuczną peruczką.

Skomplikowane czesanie wymaga dziś biegłej ręki fryzyera, gdy idzie o ubranie głowy na bal, na proszony obiad lub teatr, codzienne za to upięcię włosów, ułatwione tem więcej, że otwiera szerokie pole fantazyi.

Mówiąc o fryzyerach, przypomnijmy tu pierwszego, jaki przed dwustu laty, pojawił się w Paryżu. Przed nim, same tylko fryzyerki zajmowały się trefieniem damskich włosów. Ów fryzyer nazywał się Champagne, był to typ bardzo ciekawy, tem ciekawszy dla nas, że czas jakiś przebywał w Warszawie na dworze Maryi Ludwiki żony Władysława IV, a potem Jana Kazimierza. Paryżanki przepadały za nim, miał bowiem szczególny talent, że do każdej twarzy umiał zastosować fryzurę, a tem samem, podnieść wrodzone wdzięki i nadać urok tam nawet, gdzie go z natury nie było.

Champagne tak był popularnym, że autorowie dramatyczni, przedstawiali go w farsach i wodewillach.

Krążyło o nim mnóstwo żartobliwych piosenek, przytaczamy z nich jedną.

Chociaż chudy, czarny, mały,
Goni za nim Paryż cały,
Czarodzieja trudno dostać,
Samo złoto w dłoń mu płynie,
Bo zwyczajną nawet postać,
Zmieni w Nymfę lub Boginię,
Gdy upiętrzy jej nad głową,
Piramidę jakąś nową.

Względy Paryżanek, tak go popsuły, że stał się wkrótce nieznośnym kapryśnikiem. Szydził niemiłosiernie z wielkich pań, rzucał im w oczy ostre prawdy. Nieraz zostawił elegantkę na pół utrefioną i zabierał się do ucieczki, potrzeba było próśb i łez, aby go zatrzymać. Mimo to wszystko mu przebaczano. Nie brał nigdy pieniędzy, przyjmował tylko bogate upominki. Fryzując damy, żartował sarkastycznie z otrzymanych gdzieindziej darów, a tem samem, pobudzał klientki do hojności.

Księżniczka Marya Ludwika z Gonzagów, wysoko ceniła jego sztukę. Kiedy jeszcze mieszkała w stolicy swojej Nevers, Champagne przebywał często na jej dworze. On to włożył jej na głowę koronę królewską, w dniu kiedy zaślubiła w *Palais Royal* króla polskiego, w osobie jego posła. Towarzyszył królowej do Warszawy, wkrótce jednak znudzony, pośpieszył do Szwecyi, zkąd wrócił z królową Krystyną. Powrót Champagna był powodem niesłychanej radości dla Paryżanek. Przyszedł wreszcie do ogromnych dostatków, a te stały się powodem jego śmierci. Rozbójnicy obdarli go i zamordowali w południowej Francyi.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Autor bardzo zajmujących artykułów w „Biesiadzie Literackiej" p. t. „Na ziemi i na gwiazdach" podaje paniom, które skutkiem braku jakiego bądź zajęcia skazane są na nader nieprzyjemną chorobę, to jest ziewanie i nudy, doskonały antydot na te chroniczne cierpienia. „Nudy, mówi, jest to chwilowe uczucie zbyteczności w środku w którym nie działamy, niesmak wynikający z niezadowolnienia z siebie i braku interesu dla tego co nas otacza. Ale połączmy się tylko solidarnym węzłem z otoczeniem, stańmy się czynnem kółeczkiem w wielkiej maszynie życia, a intelligencyę, wyższość moralną i przewagę jaką nam zapewnia stanowisko społeczne obróćmy na korzyść innych, a wnet uczucie wewnętrznego zadowolnienia powstrzyma usta od ziewania, złożą się one do uśmiechu — i już po nudach.

Nie nudzą się panie angielskie bo nie wegetują, bo nie ma prawie Angielki z wyższych sfer nie będącej członkiem jakiegoś pożytecznego towarzystwa. Znaczna liczba pań zajmuje się nauczaniem w szkołach niedzielnych, inne chodzą po do-

mach dla sprawdzania stanu ubóstwa, badają potrzeby i zarządzają pomoc doraźną. Inne znowu zbierają się na tak zwane *Molhers-meetings* (mityngi matek), aby biednym kobietom udzielać rad w przedmiocie fizycznego i moralnego wychowania dzieci, lub też są członkami towarzystwa G. F. S. co znaczy To the Gils Friendly Society (Towarzystwo przyjaciół młodych dziewcząt). Aby nie tracić czasu na długie tytuły, określają je zwykle pierwszemi literami i dlatego także i wyż wymienione Towarzystwo, nietylko w piśmie i w mowie, ale nawet na trybunie mówców oznaczają tylko G. F. S.

Towarzystwo to powstało w Londynie w 1875 roku, w celu opiekowania się dziewczętami szukającemi pracy, którą nie zawsze mogąc znaleźć, stają się ofiarami nędzy, lub licznych pokus. Dama zobowiązująca się do opiekowania dziewczyną szukającą służby lub innego zajęcia powinna mieć ją ciągle na oku i czuwać nad nią jak rzeczywista przyjaciółka. Co do sług, opieka ta potrzebną jest jedynie w razie choroby lub zmiany służby, albowiem gdy zostaje w obowiązku, opiekunką dla niej jest pani i żadna dama członek Towarzystwa nie ma prawa mieszać się w sprawy służbowe.

Opieka pań ma nader doniosłe znaczenie dla dziewcząt pracujących po fabrykach i warsztatach. Towarzystwo wyznacza damy wizytatorki, których obowiązkiem jest odwiedzać dziewczęta i dowiadywać się o ich sprawowaniu. Nadzorowi temu podlegają szwaczki, pracujące w magazynach, introligatorniach, w fabrykach piór, kwiatów, koronek, cygar, wyrobów jedwabnych i t. p. Łatwo pojąć jak pochlebia biednym pracownicom to zajmowanie się ich dolą pań z wyższych sfer społecznych, jak podnosi i uspokaja pewność, że w potrzebie znajdzie pomoc i poparcie, jeżli tylko postępowaniem swojem zasłuży na nie, z jaką niecierpliwością czeka wieczoru, by w wieczornej szkole Towarzystwa usłyszeć słowa mające kształcić jej umysł, jak liczy dnie oddzielające ją od niedzieli, w którą po południu ma zasiąść w schludnym lokalu wraz z rówiennicami przy herbatce, słuchać czytania pouczającej lub zajmującej książki. Do Towarzystwa przyjmują się tylko dziewczęta odznaczające się dobremi obyczajami i pracowitością. Przyjęta dziewczyna dostaje książkę obejmującą spis lokali i gospód we wszystkich większych miastach Anglii, w których w razie zmiany miejsca zarobkowania, dziewczęta mają zapewnione mieszkanie i utrzymanie. Nadto dziewczyna opuszczająca Londyn, otrzymuje od „przyjaciółki" swojej list polecający do prezesa towarzystwa w mieście do którego się udaje — albowiem Towarzystwo londyńskie ma swe filje we wszystkich prawie miastach angielskich. Należy do nich 3,000 gmin, ogół członków wynosi 50,000 osób, zaś liczba dam działających jako „przyjaciółki" 15,000. Towarzystwo zostaje pod opieką królowej, prezesami są arcybiskupi z Canterbury i Yorku, a na liście „przyjaciółek" zapisane są najznakomitsze nazwiska — w takich warunkach nie może zbywać na środkach materyalnych. Wnioski i hojne darowizny zwiększają ciągle fundusze Towarzystwa, obracane na zakładanie wyż wspomnianych gospód, na szkoły wieczorne, wsparcia w razie choroby, bibliotekę i inne wydatki.

*** Pastor Gaudenz, z Restocku, założył stowarzyszenie przeciwników kart. Członkowie wyrzekają się nawet wszelkiej gry komersowej. Stowarzyszenie liczy już dość licznych członków i ma szanse rozszerzenia się po całych Niemczech.

*** Dzienniki angielskie podają piękny przykład poświęcenia młodej doktorki Arabelli Kenealy, która niedawno, po złożonych egzaminach otrzymała patent doktorski. Ofiarowała się jechać do Egiptu, aby leczyć panie egipskie dotknięte cholerą, mianowicie te, którym zwyczaje i religia nie dozwalają zasięgać rady doktorów mężczyzn. Miss Kenealy jest córką lekarza, który tak wielką kiedyś odegrał rolę w słynnym procesie Tichborn'a.

*** Trzęsienia ziemi obecnie objawiają się w licznych miejscowościach, przerażeniem i zgrozą przejmując mieszkańców. Dzienniki angielskie donoszą że niedawno miało miejsce trzęsienie ziemi w Batawii, stolicy wyspy Jawy. Pierwszego dnia dał się słyszeć huk podziemny bardzo głośny, podobny do potężnej kanonady; następnego drganie ziemi było nader silne, rozlegał się huk ogłuszający z towarzyszeniem trzasku zamykających się drzwi i okien i dopiero trzeciego dnia zaczął ustawać. Z holenderskiego okrętu „Konrad" obserwowano na morzu wielkie wstrząśnienia wulkaniczne; przez kilka godzin bieg okrętu został wstrzymany, a następnie płynął po gęstem błocie i kamieniach, wśród duszących wyziewów z siarki. Wulkaniczne siły podziemne otworzyły sobie drogę pod morzem i trzęsienie ziemi na Jawie ustało. W nocy płomienie buchające, z krateru oświecały widnokrąg, w dzień zupełna panowała ciemność. Wulkan ten noszący nazwę Krakatau nie był czynnym od 1680 r. w którym po raz ostatni takiż wybuch miał miejsce. Na Jawie znajduje się 45 wulkanów, z których niektóre są zastygłe i nieczynne — lecz któż wie czy w tej epoce strasznych kataklizmów wulkanicznych, nie zbudzą się do życia.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani K. B. W. Pogadanka naukowa o Gąbkach pomieszczoną będzie w Przyjacielu, o inne podobne prosimy. Podanie o kamieniu grobowym Magdaleny Seh z r. 1691 nie jest znane, wiadomość o niem bliższa jest ciekawą i może mieć wartość nawet naukową. Ogłoszeniem jego zajmiemy się chętnie.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава 25 Августа 1883 г.

Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 36, r. 1883.

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Przez kilka następnących godzin, Helena zostawała pod wpływem ciężkiego niepokoju lub też najsłodszej nadziei. Szyła siedząc przy oknie, ale oczy jej zwracały się zbyt często na ulicę, a ręce opadały na kolana, aby robota mogła postępować tak śpiesznie jak zwykle.

— Czy prędko przystębnujesz przyramkę, Helenko? zapytała nagle pani Gahlen pracująca gorliwie przy drugim oknie.

— Tak, tak, niedługo, odpowiedziała przestraszona Helena, stawiając na traf kilka ściegów.

— Widzę, że dziś robota wcale ci nie idzie, moje dziecko, odezwała się znów matka z niezadowolnieniem, daj mi tę przyramkę na którą czekam, a dokończ ten nowy czepek. Cóż to za ściegi, Heleno? zapytała z gniewem odbierając robotę od córki. Patrz, oto tak postępowano z nami w mej młodości gdy która z nas źle coś uszyła.

Mówiąc to, zaczęła próć stębnówkę, co prawdę mówiąc przychodziło jej łatwo, ściegi były tak rzadkie, że w krótkim czasie każdy kawałek płótna był osobno.

— Przepraszam mamę, rzekła Helena ocierając czoło, mam taki ból głowy, że mi się ćmi w oczach.

— Słaba jesteś, Linetko? zawołała matka już łagodnym głosem. Tak, nawet masz rozpalone policzki, moję dziecię, połóż robotę i przejdź się po ogrodzie. Ale zaczekaj chwilkę, przyniosę ci pierwej filiżankę herbaty, jestem pewna że zaziębiłaś się wczoraj siedząc tak długo na dworze.

Wstała chcąc przyrządzić własnemi rękami herbatę dla córki, gdy zapukano lekko do drzwi i Helena pobiegła otworzyć Henrykowi Turner, który nie zwracając uwagi na wyraz niezadowolnienia malujący się na twarzy pani Gahlen, oświadczył jej się o rękę córki uroczyście, i zachowując wszelkie przepisane formy.

— Oświadcza się pan o Helenę, o dziecko któremu byłoby właściwiej bawić się jeszcze lalką i które dotąd nigdy nie pomyślało o pójściu za mąż? Zkądże tak dziwaczna myśl mogła powstać w twej głowie młody panie? Powinienbyś wiedzieć o tem, że dzieci nie wychodzą za mąż.

Po tak stanowczej odpowiedzi, pani Gahlen odwróciła się od zmieszanego nią Henryka, i chciała wyjść z pokoju, gdy Helena stanęła między nią a drzwiami.

— Nie jestem ja dzieckiem, rzekła, kocham Henryka, i chętnie zostanę jego żoną skoro on kocha mnie także. Zresztą mama nie może mówić tego serio że jestem zbyt młoda, skoro sama w moim wieku poszła za mąż.

Taka śmiałość ze strony najmłodszej córki, zdumiła panią Gahlen, nie przywykłą do spotykania choćby najlżejszego uporu. Spoglądała przez chwilę milcząc na Helenę, która patrzyła na nią śmiało a zarazem błagalnie, trzymając rękę Henryka.

— Więc to tak, rzekła więc ułożyliście to już między sobą? I uznałeś to za rzecz właściwą mój piękny paniczu, zwrócić się do córki nie wiedząc jaką odpowiedź dostaniesz od matki. Bardzo chwalebne postępowanie, trudno temu zaprzeczyć. Może taka moda w wielkim świecie, ale muszę przypomnić panu, że my, jako mieszczanie, trzymamy się ściśle dawnych zwyczajów.

— Ale, mamo, przecie Henryk musiał dowiedzieć się przedewszystkiem czy go kocham, bo w przeciwnym razie na cóżby mu się zdało oświadczyć się o mnie? zawołała Helena.

Henryk nie dozwolił jej powiedzieć więcej. Spostrzegł że twarz pani Gahlen przybiera coraz surowszy wyraz, i nie chciał doprowadzać jej do ostateczności. Przeprosił ją pokornie za przewinienie którego rozciągłość dopiero poznał, i ponowił swą prośbę w słowach tak przekonywających, że postanowienie pani Gahlen zachwiało się trochę, a jej oczy przybrały wyraz łagodniejszy. Na nieszczęście odezwała się znów w jej sercu niechęć do Henryka i całej jego rodziny.

— Gdybym nawet zezwoliła na wasze połączenie, rzekła, to musielibyście czekać może długo jeszcze. Zwyczaj istniejący od niepamiętnych czasów w naszej rodzinie; nie dozwala wydawać za mąż młodszej córki przed starszą, a ja nie myślę go naruszać, i zadawać kłamu postępowaniu memu przez ciąg całego życia dla waszej fantazyi. Nie mówmy więcej o tem... Spodziewam się Heleno że uszanujesz wolę matki.

Energiczna niewiasta pożegnała zasmuconą parę i wyszła z dumną postawą królowej która dała stanowczą odprawę posłowi jakiegoś nieprzyjaznego mocarstwa. Musimy wyznać że Henryk, na którym jak się w pierwszej chwili zdawało, ta majestatyczna postawa sprawiła silne wrażenie, wybuchnął głośnym śmiechem gdy go pani Gahlen widzieć i słyszéć nie mogła.

— Zdaje mi się, Heluniu, że matka twoja nauczyła się tego sposobu czytając Shakespeare'a. Takiego właśnie środka chwycił się ojciec upartej Katarzyny, chcąc znaleźć dla niej męża. Męża! męża! królestwo za męża dla Zofii! Petruczja dla tej Katy abym mógł poślubić moją dobrą i śliczną Oliwię!

— Żartujesz, Henryku, bo nie domyślasz się jak wielkie grozi nam niebezpieczeństwo. Nie znasz mej matki, ja zaś przeczuwam że powiedziała to jedynie aby upozorować czem swą odmowę. Mama nie chce abym poszła za ciebie, jest do najwyższego stopnia uprzedzona do wszystkich artystów w ogóle, a nadewszystko do ciebie i do twej rodziny.

— Tak, muszę przyznać, że nie doznałem zachęcającego przyjęcia, ale droga moja, miłość bez przeszkód nie ma dla mnie powabu. Nie traćmy energii, zajmę się zaraz wyszukaniem męża dla twej siostry, a skoro go upoluję, matka twoja nie będzie mogła mi odmówić. Wiem że to trudne dla mnie zadanie, ponieważ Zofia posiada więcej rozumu niż piękności, a mężczyzni mają w ogóle tę opłakaną wadę, że w kobiecie cenią więcej piękność niż rozum.

— Piękny komplement dla mnie, rzekła Helena z uśmiechem, ale trudno zaprzeczyć, że nasza Zofia mogłaby się podobać tylko komuś posiadającemu gust zupełnie odmienny od innych. Prócz tego idzie jej tak bardzo o honor rodzinny, że nie poszłaby za byle kogo. Ale uciekaj, Henryku, zanim mama wróci. Odejdź, proszę cię. Coby to było gdyby mama zastała cię tu jeszcze! Puść mnie, zobaczymy się dziś wieczorem u Fryderyka, i będziemy mogli pomówić swobodnie.

XXIV.

Nieoceniona przyjaciółka.

Tegoż samego dnia wieczorem, zakochani rozwodzili swe żale przed Fryderykiem i Teodorą, którzy pomimo szczerego współczucia, nie umieli im dopomódz. Ciotka Polusia, siedząca przy samowarze milczała długo, a potem nagle przerwała ich skargi radosnym okrzykiem:

— Moje dzieci, zawołała opierając koniec palca na zadartym nosku, zdaje mi się że wyprowadzę was z kłopotu. Nie mogę wprawdzie zaręczyć że mi się to uda, ale w każdym razie warto spróbować.

— Powstała prędko, i wyszła do drugiego pokoju, nie odpowiadajac na błagania obecnych aby im powierzyła swe zamiary.

— Nie zatrzymujcie mnie, muszę napisać list, co nie jest łatwem zadaniem dla ciotki Polusi, rzekła wychodząc.

Nie dowiedziano się nic więcej, a pomimo to do wszystkich serc wstąpiła nadzieja: ciotka Polusia zwykle tak szczęśliwie przeprowadzała swe plany.

„Kochany przyjacielu i kuzynie — pisała nieoceniona ciotka nazbyt wprawną ręką, pośpieszam udzielić ci dobrą radę. Nie przeczę bynajmniej, że potrzebujesz się ożenić, a dzieci twoje potrzebują matki, ale muszę ci powiedzieć że powziąłeś dziwną myśl chcąc mnie powierzyć tę podwójną rolę. Miłość żyje wśród róż a unika zeschłego ostu, nie jestem jeszcze zupełnie do niego podobną, w każdym jednak razie radzę ci abyś poszukał sobie róży. Tylko nie pączka, bo i ten byłby dla ciebie niestosowny, ale rozwiniętego a świeżego. Znajdziesz go w rodzinie mego przybranego siostrzeńca, u którego bawię obecnie, są to ludzie mili, zacni, gościnni, w których domu znalazłbyś serdeczne przyjęcie, gdyby ci przyszła ochota zawitania w te strony i przekonania się o prawdziwości słów moich. Zastanów się dobrze nad moją radą, przyjmij życzliwie moje przyjazne pozdrowienie, i ucałuj twe dzieci w imieniu moim.

Ciotka Polusia."

W kilka dni po wysłaniu tego listu, ciotka Polusia uwiadomiła z figlarnym uśmiechem osoby znajdujące się na herbacie w domu Fryderyka, że jej dobry przyjaciel i kuzyn, radca Rothenberg von Seedorf przybędzie wkrótce do M... aby się z nią zobaczyć i cieszy się że będzie miał sposobność poznać osoby tak miłe jak Fryderyk i Teodora Gahlen. Teodora oświadczyła natychmiast gotowość oddania szanownemu radcy gościnnego pokoju, a ciotka Polusia przyjęła najchętniej tę ofiarę w imieniu kuzyna. Jakkolwiek nikt nie dał tego do zrozumienia, każdy był przekonanym że ten gość niespodziewany ma odegrać rolę anioła pocieszyciela, to jest pretendenta do ręki Zofii. Co do tej ostatniej, ciotka

Polusia ukrywała przed nią starannie swe plany, i w jej obecności wyrażała się o swym kuzynie tak poważnie i obojętnie, że trudno było się domyśléć jakie knuła spiski.

Co tylko poczciwa ciocia zamierzyła doprowadzić do skutku, to się spełnić musiało, kto tylko powierzył jej swe sprawy, nabierał następnie tego przekonania, a pan radca doświadczył tego na sobie. Zaczął wkrótce czynić tak wyraźne grzeczności Zofii że trudno było nie domyślić się jego zamiarów. Bezwątpienia, róża, według poetycznego wyrażenia ciotki Polusi, nie była tak świetną jak Helena, ale przez to właśnie była odpowiedniejszą dla człowieka wprawdzie nader szanownego, ale z ułożeniem bardzo sztywnym, i niepozorną powierzchownością. Była chwila w której powziął myśl zdobycia serca i ręki ciotki Polusi, która dała mu, jak tylu innym, wiele dowodów życzliwości, ale rozważywszy dobrze rady i uwagi zawarte w jej liściе, zrozumiał że ta wesoła i fertyczna osóbka nie byłaby stosowną dla niego towarzyszką, pominąwszy to nawet, że ciotka Polusia była od niego starszą o kilka lat, czego, co prawda, trudnoby się domyślić. Żeniąc się z Zofią zrobi lepszy wybór. Jest wprawdzie trochę próżna, no! każdy ma jakąś wadę! a z drugiej strony, jest roztropna, pracowita, potrafi utrzymać dobrze dom jego i będzie dobrą matką dla jego dzieci. Powziąwszy raz to postanowienie, i chcąc pozyskać względy swej wybranej, odkładał wyjazd od dnia do dnia, co przychodziło mu tem łatwiej, że wszyscy sprzyjający uczuciom Henryka i Heleny, prosili go usilnie aby pozostał dłużej.

Pewnego dnia nakoniec, mama Gahlen, promieniejąca dumą i radością, obwieściła całej, zebranej u niej rodzinie, że córka jej Zofia zostanie wkrótce żoną radcy Rothenberg von Seedorf. Spodziewano się już tego, ale następnie jej słowa wywołały ogólne zdumienie. Zatrzymała się chwilę, odetchnęła, i spojrzawszy tryumfującym wzrokiem na wszystkich obecnych, dodała:

— Prócz tego, uwiadawiam was jeszcze o zaręczynach Heleny z Henrykiem Turner.

Z ust Heleny wyrwał się krzyk radosny, zarzuciła ręce na szyję matki i uściskała z całej siły. Pani Gahlen odsunęła ją śmiejąc się wesoło, i dodała wskazując drzwi otwarte:

— Ostrożnie, dziecko, pognieciesz mój piękny nowy czepek. Idź tam a znajdziesz kogoś co potrafi lepiej ocenić twoje pieszczoty.

W tej chwili wbiegł rozpromieniony Henryk, a jeźli nie skorzystał natychmiast z udzielonego mu upoważnienia, wolno się domyślać że wynagrodził to sobie później.

Myśl sprawienia dzieciom tak radosnej niespodzianki, nie zrodziłaby się nigdy w głowie pani Gahlen, gdyby nie to że ciotka Polusia podsunęła ją zręcznie. Nabierając coraz silniejszego przekonania, że zręczna dyplomacya stanowi prawdziwą potęgę na świecie, zachęcona poprzedniemi zwycięztwami, przebiegła protektorka zakochanych, unosiła się nad wzruszającą uległością Heleny dla woli matki. Poczciwe dziecko! posłuszeństwo jej dochodziło do tego stopnia, że zaledwie śmie odkłonić się Henrykowi, jeźli spotka go przypadkiem.

„A jednak, dodawała z bolesnem westchnieniem, aż przykro patrzéć na to biedactwo, które tak pobladło nękane smutkiem. W każdym razie, droga pani Gahlen, jestto dla mnie nowym dowodem że dobre wychowanie posiada nieocenioną wartość. Inna panienka w takim razie gotowaby szlochać, skarżyć się, a kto wie czy nie zbuntowałaby się nawet? Ale córka Gahlenów ma zbyt wysokie pojęcie o swych obowiązkach aby miała uciekać się do podobnych sposobów. Twoją Helenkę, droga pani, chciałybym wskazać jako wzór wszystkim piszącym o wychowaniu.

Podobne pochwały wpadały nader przyjemnie do ucha pani Gahlen, która czuła się coraz skłonniejszą do zezwolenia na ten związek tak pożądany dla jej córki, byle mogła to uczynić bez ubliżenia swej godności.

Pan radca Rothenberg podobał jej się niewymownie, a szczęściem Zofia podzielała zupełnie jej zdanie, bo w przeciwnym razie mogłoby przyjść do gwałtownego starcia między panią Gahlen a jej córką, równie upartą jak ona. Że jednak z jej strony nie doznała najlżejszego oporu, a Helena z taką słodyczą i uległością stosowała się do jej woli, postanowiła wynagrodzić ją za to, i umówiła się z ciotką Polusią, aby nie wspominając o tem nikomu, przywołała w oznaczonym dniu Henryka.

Żaden z toastów wzniesionych na tych podwójnych zaręczynach, nie został przyjętym ochotniej i szczerzej nad wzniesiony na cześć ciotki Polusi. Nikt nie wystąpił z dziękczynną mową, ale ci wszyscy dla których szczęścia pracowała tak gorliwie, nie okazując nigdy zniechęcenia lub znużenia, błogosławili w duszy tę nieocenioną istotę, która znajdowała przyjemność w poświęcaniu się dla innych, cieszyła się ich szczęściem, i z rozpromienioną twarzą spoglądała teraz na nich, podnosząc do ust kieliszek dla podziękowania im za ten dowód życzliwości.

XXV.

Pożegnanie.

Ostatnie tygodnie spędzone w M..., były dla Fryderyka i Teodory, najprzyjemniejszemi z całego ich tam pobytu, bo zdawało się że wszyscy uważali to sobie za obowiązek aby ten czas upłynął im mile.

Mały domek na przedmieściu który już wkrótce miał utracić swych lokatorów, doczekał się jednak tego szczęścia, że pani Kleist, zachęcona niezwykle piękną wiosną, odważyła się puścić w drogę, i przestąpiła jego progi. W tej epoce w rodzinnem domu Gahlen'ów wszyscy byli szczęśliwi i zadowoleni ze swego losu, nawet surową panią domu radość tak ułagodziła i przeistoczyła że trudno ją było poznać. Wszyscy przyjaciele i znajomi, starali się okazywać jawnie swój żal z powodu wyjazdu młodej pary i Teodora odbierała dowody życzliwości zdolne ją wzruszyć i zadziwić zarazem; jak naprzykład, gdy panna Wensdorf przyniosła jej kilka z najpiękniej oprawnych książek ze swej biblioteki, prosząc aby je przyjęła na pamiątkę, lub też gdy odebrała od pani Felsing bardzo grzeczny bilecik, wraz z fotografiami jej synków, o które Teodora prosiła ją dawniej. Nikt jednak nie ubolewał tak szczerze nad tem rozłączeniem jak pastor Hiller i zacna jego matka, od których Fryderyk i Teodora odebrali tyle dowodów szczerej przyjaźni, że z prawdziwą boleścią rozstawali się z nimi. Niepotrzebujemy zapewniać że dobrzy państwo Wunderlich nie szczędzili oznak żalu i przyjaźni, pani Wunderlich zasmuciła się tem szczerze że straci tak śliczną i miłą przyjaciółkę, której nie rozumiała wprawdzie, ale którą pokochała bardzo. Mąż jej słuchał zawsze z głębokim współczuciem gdy nad tem ubolewała.

— Tak, tak, smutna to rzecz w istocie, że tak zmniejsza się kółko naszych znajomych, rzekł potrząsając głową. Brak mi i tego biednego Felsinga; umiał poprowadzić rozmowę, i przychodził do nas chętnie na kieliszek wina.

— Doprawdy, mój mężu, jakkolwiek wiem że nie godzi się mówić źle o umarłych, nie mogę co do Felsinga, podzielać twego zdania, prócz tego nie podobał mi się zawsze, opowiadają o nim bardzo brzydkie rzeczy. Trzeba uważać za szczęście dla niego że się utopił, i że tym sposobem łatwiej było uchronić ją i dzieci od niesławy.

— Nie można wierzyć wszystkiemu co ludzie mówią, Mino, a nawet się to niegodzi! odpowiedział puszczając gęste kłęby dymu z fajeczki. Przypuszczam że w jego wynurzeniach się dla nas z przyjaźnią nie wiele było prawdy, ale nie chcę wiedziéć o niczem więcej. W każdym razie to już nie podpada wątpliwości, że młodzi Gahlen'owie są uosobioną szczerością, i że możemy ich kochać bezpiecznie. Otóż czy wiesz, Mino, co mi przyszło na myśl? oto sądzę że wypada nam wydać dla nich wielki obiad, na który zaprosimy wszystkich znajomych, aby tym sposobem okazać jawnie jak wysoko ich poważamy. Wszak mam słuszność, moja żoneczko?.. Zapewnie potrzeba ci będzie nowej sukni albo czepka, dam na to chętnie. Pomyśl także czy nie wypadałoby sprowadzić dobrego kucharza, oblicz co to wszystko może kosztować, a ja nie pożałuję pieniędzy. Mamy na to, dzięki Bogu!

Mina zgodziła się bardzo chętnie na projekt męża, i zaczęli się zaraz naradzać nad urządzeniem obiadu. Ułożyli ile ma być dań, jakie gatunki win, umówili się o leguminy, deser, zastawę stołu, co trwało tak długo i tak pochłonęło całą ich uwagę, że w końcu pani Wunderlich zapomniała o swym smutku.

Obiad udał się wybornie i był bardzo świetny. Goście byli weseli i usposobieni do zabawy; wina podawano wyborne, deser był nieporównany, bielizna, srebra kryształy nie pozostawiały nic do życzenia, słowem tak surowy krytyk jak mama Gahlen, nie zdołał nic zarzucić tej wspaniałej uczcie. Fryderyk i Teodora odebrali tyle dowodów grzeczności, szacunku i przyjaźni, że pożegnanie wydawało im się smutniejszem niż to przypuścić mogli, gdy z utęsknieniem myśleli o stolicy, i o tej wolności jaką zapewnia swym mieszkańcom.

Uczniowie gimnazyum zapragnęli także dać byłemu dyrektorowi dowód swego uznania, i gdy wybrani z ich grona ofiarowali Fryderykowi piękny świecznik kupiony ze składek, inni stojąc przed domem, wydawali na jego cześć głośne okrzyki. Nic nie mogło sprawić żywszej przyjemności Fryderykowi nad ten dowód że w tak krótkim czasie, i pomimo tylu przeszkód, potrafił sobie zjednać przywiązanie szkolnej młodzieży.

Smutne było pożegnanie w starym domu Gahlen'ów. Pani Gahlen oceniająca teraz sprawiedliwiej synowę, ucałowała ją z czułością w chwili rostania, wprawdzie Teodora była najmniej kochaną z jej córek, a najłatwiej przywyczai się do jej nieobecności, ale zawsze była już jej córką.

Wyjechali. Tedora siedząca obok męża w powozie unoszącym ich z M... szukała jeszcze smętnym wzrokiem małego domku ocienionego lipami, a łzy spływały po jej twarzy.

— Fryderyku, rzekła, opuściłeś ich wszystkich dla mnie, kto wie czy nie będziesz kiedyś żałował twego poświęcenia?

— Jesteś mi droższą nad wszystko w świecie, rzekł przyciskając ją do serca, i dopóki ty mi pozostaniesz, niczego żałować nie będę.

XXVI.

Radosne zdarzenie.

W jesieni tegoż samego roku, dość silny przymro-

zek poważył liście na drzewach, i te spadające zaściełały ulice parku znajdującego się tuż za rogatkami miasta B... i w którym wznosiły się ładne wille. Zgiełk i hałas wielkiego miasta nie doszedł nigdy do tych ślicznych domków, z których jeden zajmował teraz Fryderyk z żoną. Szczęście sprzyjało im pod tym względem, stary tajny radca Turner, mieszkał bardzo długo w tej willi, lecz zbytnia jej odległość od miasta, okazała się w końcu uciążliwą dla człowieka w późnym już wieku; a co więcej doktora posiadającego liczną klientelę, z tego też powodu postanowił się wyprowadzić, i poszukać sobie lokatora. Kogóż mógłby znaleźć odpowiedniejszego i milszego sercu nad swą ukochaną siostrzenicę i zacnego jej męża? Żadne z nich nie wahało się przyjąć tej szczodrobliwej ofiary, a nawet pani Kleist postanowiła zamieszkać przy dzieciach i zakosztować rodzinnego życia. Wraz z nią Teodora odzyskała wierną Gryzeldę, która znów zajęła się gorliwie gospodarstwem, i umiała utrzymać w domu porządek, dostatek i spokój.

Młodzi Małżonkowie nie żyją już teraz każde w innej sferze, zjednoczyli swe myśli i pracują wspólnie, a Fryderyk przekonał się że żona może mu dopomódz wiele do prędszego ukończenia dzieła historycznego które zamierzał wydać. Teodora nie zazdrości już żonom wyrobników którym wolno podzielać pracę mężów, dopomaga swemu stosownie do swej możności, i czuje się szczęśliwą.

Taka teraz wesoła, czynna i silna że z żalem wyrzekła się zamiaru dawania lekcyi muzyki, ale dzięki pani Gahlen, mają aż nazbyt dostateczne dochody. W pierwszej chwili była ona bardzo z tego niezadowolnioną, że Fryderyk podał się do dymisyi, aby jak się wyraziła, żyć wiatrem, w końcu jednak uwzględniła wskazane przez syna powody i pochwaliła dalsze jego plany.

— Tak, porzuć gimnazyum, i niech się z nim dzieje co chce, rzekła z gniewem, wysłuchawszy opisu tysiącznych przykrości jakie znosić musiał, pochwalam twoje postanowienie, mój synu. Skoro otrzymasz katedrę przy uniwersytecie, wtenczas poznają co utracili. Ale zanim to nastąpi trzeba żyć, a jakkolwiek jestto bardzo pięknie ze strony Teodory, że ci chce oddać swój posażeg; nie godzi ci się przyjąć jej ofiary, brzydka to rzecz, gdy mąż żyje na koszcie żony. Słuchaj, moje dziecko, wiadomo ci, że ojciec twój zostawił mi dożywocie na całym majątku, co było dowodem jego przezorności. Wiedział że nie ukrzywdzę was na jeden szelong, a będę oszczędniejszą niż wy. Trochę to jednak ciężko cierpić niedostatek mając prawo do spadku po ojcu; dlatego też oddam ci część twoją.

Pani Gahlen spełniła swą obietnicę, i dochody od tej sumy połączone z dochodami pani von Kleist, były aż nazbyt wystarczającymi dla osób zamiłowanych w cichem i skromnem życiu.

Nadeszła jesień, i pewnego dnia ciotka Polusia, z twarzą promieniejącą radością, włożyła do pierwszej kąpieli malutką istotkę, której zadaniem było podtrzymać ród Gahlen'ów. Gdy Fryderyk ofiarował jej swą pomoc, odtrąciła ją wzruszając ramionami:

— Alboż to zajęcie właściwe dla mężczyzny! rzekła. Jesteście do tego tak stworzeni jak ja na żołnierza. Idź lepiej do błękitnego pokoju gdzie szukają cię już zapewnie piękne czarne oczy.

Fryderyk spełnił posłusznie jej rozkaz, i usiadł przy łóżku żony, która powitała go uśmiechem. Pochylił się wtenczas ku niej i pokrył jej rękę pocałunkami, ale w tej chwili właśnie weszła nielitościwa ciotka z małem zawiniątkiem na ręku, i zmusiła go do ustąpienia jej miejsca.

— Przynoszę ci, Teo, twego księcia następcę tronu. Ciebie zaś Fryderyku proszę abyś siedział cicho i spokojnie. Nie pozwalam na żadne czułości, a jeżli chcesz popieścić kogoś, to masz od tego tę laleczkę. W razie nieposłuszeństwa wyproszę z pokoju.

Teodora odzyskała prędko zdrowie pod ścisłem i światłem dozorem ciotki Polusi, i w kilka tygodni później, już ona sama kąpała swe dziecię, którego nie powierzała nigdy nikomu, nawet swej ukochanej ciotce, która też nie sprzeciwiała jej się wcale. Tak często wyrzucała sobie że nie obznajmiła zawczasu swej Teo z zajęciami domowemi, co ściągnęło na młodą gospodynię tyle i tak ciężkich przykrości, że nie chciała teraz przeszkadzać jej w spełnieniu macierzyńskich obowiązków. W ciągu lata uczyła ją praktycznie gospodarstwa i sztuki kucharskiej z cierpliwością kosztującą ją więcej nad jaką ciężką pracę, ale teraz nie lękała się już o przyszłość.

Młoda matka spełnia swe obowiązki tak gorliwie i tak zręcznie jakby je znała oddawna; czuwa nad tem zazdrośnie aby nikt nie wkraczał w jej prawa, dawne jej niedbalstwo znika bez śladu, gdy idzie o coś choćby najprzykrzejszego, ale potrzebnego dla jej zajęcia. Nawet ciotka Polusia nie może poznać swej drogiej ale trochę leniwej Teodory.

— To prawdziwie dobra matka, rzekła raz do Fryderyka śledzącego wzrokiem wszystkie poruszenia żony. Serce tak czułe i kochające musiało w końcu zrozumiéć swój obowiązek. Możemy teraz być spokojni, nasza kochana Teo, jest na dobrej drodze, i nie zboczy z niej. Bóg zesłał jej najlepszego nauczyciela, bo wiedział lepiej od nas jak przemówić do jej duszy.

Jak zawsze tak i teraz ciotka Polusia miała słuszność. Teodora pracując dla dziecka otrząsnęła się ze swej obojętności, dom obchodził ją więcej, a zajęcia gospodarskie nie wydawały się już nieznośnemi. Każda praca, jeżeli tylko miłość i radość pochodząca z przeświadczenia że jesteśmy użyteczni, czyni ją dla nas miłą, stanowi jeden z warunków szczęścia w życiu. Bezwątpienia, nie sądzimy aby Teodora stała się kiedyś wzorową gospodynią, zdolną zadowolnić wymagania mamy Gahlen, ale to pewna że gdyby jej zimne i przenikliwe niebieskie oczy mogły widzieć jak jest pilną i czynną w domu, wyraz ich złagodniałby znacznie.

Upłynęło bardzo wiele dni zanim Teodora mogła poświęcić godzinkę czasu, dawniejszemu bóstwu swemu, sztuce. Nie zaniedbała go jednak, tylko nie poświęca mu już dobrobytu męża i dziecka, gdy przebudzi się synek biegnie do niego nie czekając aż skończy choćby najpiękniejszą sonatę, a jeżli obecność jej potrzebna w spiżarni lub kuchni, pozostawia swą akwarelę bez względu że farby mogą zaschnąć przedwcześnie.

— Powiedz mi Teo, odezwał się pewnego dnia Fryderyk, po długiem przyglądaniu się żonie ubierającej synka, czy wiesz o tem że zaczynam być zazdrosnym o tego malca? zdaje się że dla niego tylko żyjesz, i nie domyślasz się nawet, jak dalece się stałaś prozaiczną. Założyłbym się że nie mogłabyś już nie tylko pisać wierszy, ale nawet ich czytać. Syn, syn i tylko twój syn; jestto obecnie jedyny przedmiot twych uczuć i peotycznych zachwytów.

— Zobaczymy to zaraz, rzekła Teodora wyjmując z szufladki ćwiartkę papieru,

Pomyślała chwilkę, a potem napisała kilka strofek, w których wymawiała synkowi, że zamiast, jak pragnęła tego, być jak ojciec blondynem z niebieskiemi oczyma, miał jak matka czarne włosy i oczy; i w końcu zalecała mu aby dla wynagrodzenia jej tego zawodu, miał kiedyś taki charakter i serce jak jego ojciec.

Fryderyk trzymał tym czasem na ręku dziecię, które z rozkoszą targało go za brodę, co i jemu także zdawało się sprawiać przyjemność. Gdy Teodora przysunęła mu wiersze, przebiegł je oczyma i roześmiał się wesoło.

— Nazywasz to poezyą, Teo? Wybacz, ale czuć ją bardzo dziecinnym pokojem. Ah! moja biedaczko, twój Pègaz stracił już skrzydła a nogi mu posztywniały. Gdyby matka twoja dowiedziała się o tem, dostałaby z rozpaczy nerwowego ataku.

— Proszę być cicho, mój panie, rzekła Teodora opierając pieszczotliwie twarz na ręku męża, muszę teraz uśpić naszego synka. Ostrzegam że wrazie nieposłuszeństwa z twej strony, napiszę kilkadziesiąt strofek, po szelongu tuzin, które będziesz musiał przeczytać za karę.

— Łaski! miłosierdzia! zawołał biegnąc do drzwi, z oznakami największego przestrachu.

Tam dopiero zatrzymał się, i ukłonił niziutko żonie, która odkłoniła mu się ze śmiechem, a dziecię które trzymała na ręku zaczęło wydawać wesołe okrzyki. Młody ojciec w jednej chwili znalazł się znów przy nich, oboje razem przycisnął do serca, i okrył pocałunkami.

XXVII.

Dwadzieścia lat później

Dwadzieścia lat upłynęło od dnia w którym widzieliśmy Fryderyka i Teodorę, przy kolebce drobnej istotki, której zjawienie się dodało nowego powabu ich życiu. Spotykamy się znów z nimi w tej samej willi wśród parku, w tem miłem schronieniu gdzie przeżyli tyle lat szczęśliwie, że nie chcieliby go już opuścić. Jesienny wiatr poruszał gałęziami drzew otaczających ulicę po której Teodora chodziła wraz mężem, ale słońce rzucało jasne promienie na zasłaną pożółkłemi liściami ziemię, i twarz pary rozmawiającej z sobą z ożywieniem.

Czas zwykle tak nielitościwy, okazał się względnym dla Fryderyka i Teodory. Wprawdzie gęste dawniej blond włosy, przerzadziły się znacznie nad jego czołem, a broda zaczynała siwić, w pięknych czarnych warkoczach Teodory widać już nie jeden włos srebrny, ale twarze ich zachowały jeszcze wiele wdzięku i świeżości, a ruchy były zręczne i lekkie.

— Cóż powiesz na mój plan, droga Teo, czy jesteś z niego zadowolniona? zapytał Fryderyk patrząc bacznie na żonę.

— Co powiem? zawołała Teodora, a piękne jej rysy odzyskały pod wpływem radości, wdzięk prawie młodzieńczy — to tylko że od wielu już lat było mojem najgorętszem życzeniem. Zresztą, dodała ze smutkiem, nie ma już mej najdroższej matki od której byłoby mi żal odjechać, i skoro zabierzemy z sobą dzieci, nie będziemy tęsknić za nikiem.

— To samo mówiłem sobie rozmyślając nad podróżą. Co do mnie, dostanę urlop łatwo, zamierzam nawet postarać się o jakieś polecenie rządowe, które ułatwi mi przystęp do wszystkich bibliotek, i zasili naszą kassę podróżną. Herman znajdzie sposobność oddania się swoim ulubionym badaniom, co będzie rzeczą nader korzystną dla niego. Nasza Zuzia pojedzie także z nami, jeżli tylko nie będzie wolała pozostać przy swej najdroższej babuni; tak

się kochają wzajemnie, że podobne postanowienie z jej strony, nie zadziwiłoby mnie wcale.

— Ale zasmuciłoby cię z pewnością, rzekła z uśmiechem Teodora. Nasza jasnowłosa dzieweczka jest i była zawsze twoją faworytką.

— Równie jak czarnowłosy Herman był i jest twoim ulubieńcem. Prawda że odziedziczył nie tylko twój grecki profil i czarne oczy, ale także twój wzniosły umysł, i artystyczne zdolności. Możesz być dumną z twego portretu, Teodoro, przynosi ci zaszczyt.

— Równie jak tobie nasza złotowłosa córeczka— zawołała Teodora, zatrzymując błyszczące dumą oczy na biegnącej ku nim Zuzi. To nieodrodna córa Gahlenów, nie dziwię się też wcale, że babka tak ją kocha.

— Czy mama mówi o babuni Gahlen? zapytała Zuzia czepiając się ręki ojca. Powiedz mi, ojczulka, czy to prawda, że jestem do niej bardzo podobna? Ciotka Zelma utrzymuje, żę gdy patrzy na mnie, zdaje się jej że widzi swą bratowę gdy była w moim wieku?

— A ty sądzisz, że gdy cofnę się pamięcią w dawne lata, to przypomnę sobie jak wyglądała moja matka w siedemnastym roku życia.

— Jakże ci się udały ciasteczka, mały Koboldzie? zapytała Teodora córki śmiejącej się serdecznie z odpowiedzi ojca. Czy zamierzasz przyrządzić nam znów na deser jakiś wyborny przysmaczek?

— Tak, mamo, chcę upiec ciasteczka według przepisu ciotki Polusi, ale potrzeba do nich kilka jaj, przyszłam więc zapytać czy mogę je wziąść.

Puściła rękę ojca aby ucałować matkę, która udzieliła jej żądane pozwolenie.

— Słuchaj, Zuziu, zawołał Fryderyk za odbiegającą, uważaj dobrze abyś zamiast cukru nie nasypała soli do ciasta.

— Ah! ojczulku, nigdy jeszcze w życiu nie dopuściłam się tak strasznej pomyłki, odpowiedziała Zunia śmiejąc się wesoło.

Teodora uderzyła męża lekko po ręku.

— Nie lękaj się, córka twoja nie dopuści się nigdy tych pomyłek, które o mało że nie zwichnęły życia jej matki. Urodziła się na wzorową gospodynią, i mogę się na nią spuścić ze wszystkiem. Posiada wszelkie przymioty Gahlen'ów a nie odziedziczyła nic po matce.

— O! nie, mylisz się, odziedziczyła po matce zamiłowanie, poczucie piękna i dobra, a prócz tego, wielki talent muzykalny, odpowiedział żywo Fryderyk.

— Nie uczyniłoby to jej jeszcze użyteczną sobie i drugim, rzekła Teodora. Dzięki Bogu, nasza córka nie będzie potrzebowała przechodzić tej ciężkiej próby na które bywają wystawione osoby nie obdarzone tak szczodrze jak ona.

Podczas gdy rodzice układali plan podróży do Włoch, Zuzia korzystając z upoważnienia matki, zajęła się przyrządzaniem ciasteczek. Wchodząc do kuchni przypomniała sobie że Herman nie jadł jeszcze śniadania, i podała mu je śpiesznie.

— Przypominasz mi w tej chwili, Zuziu, Szarlotę Werthera, smarującą chleb masłem, rzekł Herman stojący przy stalugach.

— Niechże mnie Bóg uchroni od podobnego Werthera, nie cierpię wszystkich bohaterów wygłaszających szumno-sentymentalne frazesa.

— Więc cóż przypada ci do gustu? Musisz przecie mieć jakiś ideał, jak wszystkie dziewczęta w twoim wieku.

— Co za dziwna myśl! Nie spotkałam jeszcze nikogo takiego coby mi się podobał, w całym znaczeniu tego wyrazu.

Podniosła w górę rękę z kawałkiem chleba i zaczęła deklamować:

„O! muzo, przedstaw mi tego przesławnego męża, który niegdyś zburzył Troję święte...

— Cicho, przez litość! zawołał Herman. Stary Homer poruszy się w grobie, gdy usłyszy jak kaleczysz jego dzieło.

— Tem większa chwała dla mnie że potrafię wzruszyć nawet umarłych, odpowiedziała, smarując spokojnie chleb masłem. A! Hermanie, jaki ładny czworokąt dodałeś do dachu tego domu, zawołała patrząc przez ramię brata.

— To nie dach ani też czworokąt, profanko, ale metopy architrawu, a nic dziwnego że są piękne, skoro malowała je ukochana nasza matka.

— O! tak, nasza matka wszystko umie. Wuj Turner powiada zawsze, gdy gram przy nim na fortepianie, że znać jaką dobrą miałam nauczycielkę. A na pensyi uciotki Joanny, wszystkie koleżanki zazdrościły mi że mam matkę piszącą tak pięknie wiersze. Nigdy nie żałuję pracy gdy idzie o zrobienie komuś przyjemności, każda z moich przyjaciółek posiada w swym albumie jakiś rysunek lub poezyę skreśloną jej ręką. Jest zawsze tak czynna, tak szlachetna! Ciotka Joanna i wiele innych osób mówiły mi że jej dużo zawdzięczają.

Rozmowę ich przerwało ukazanie się Merkurego który pełnił też same co dawniej obowiązki, i wywiązywał się z nich równie wolno i sumiennie jak niegdyś, a w tej chwili przyniósł list do Hermana.

— Z Włoch! zawołał Herman łamiąc prędko pieczątkę.

Z koperty wypadła ćwiartka zadrukowanego papieru, był to dyplom na honorowego członka jednego z uczonych towarzystw, które przysłało go Hermanowi jako nagrodę, za jego znakomitą rozprawę o Giottym. Do dyplomu był przyłączony list bardzo dla niego pochlebny. Skoro tylko Herman przebiegł go oczyma, wybiegł natychmiast do parku naprzeciwko rodziców, aby ich uwiadomić jak wielki spotkał go zaszczyt.

— A! gdyby to mogła widzieć moja matka! rzekła Teodora przyciskając do serca syna upojonego dumą i radością. W ostatnich latach żyła już tylko dla Hermana, któremu zawdzięczała, jak mi to często mówiła, że dni jej starości były dla niej najszczęśliwszymi w życiu.

— Tak, babunia Kleist była moim najlepszym mistrzem, przewodnikiem, jak równego znalazłem w tobie, droga matko, wam to zawd zięczam że moja rozprawa tak się podobała.

— A co powiedziałbyś na to, Hermanie, gdybyśmy pojechali razem studyować Giotta w jego ojczyźnie, i podziękować tym panom którzy uznali cię godnym tak wielkiego zaszczytu?

Na twarz Hermana wystąpił szkarłatny rumieniec.

— Nie rozumiem cię mój ojcze.

— Pytam się, rzekł Fryderyk z uśmiechem, czy nie chciałbyś pojechać z nami do Włoch, gdzie mógłbyś prowadzić swe studya?

W miejsce odpowiedzi, młody artysta rzucił się z okrzykiem radości na szyję ojca. Zuzanna, która pośpieszyła za nim, uwiła na prędce wieniec z gałązki dzikiego wina, jeszcze nieogołoconej z purpurowych liści, i włożyła mu go na głowę mówiąc:

— Przyjm to jako dowód uznania.

Zanim zdołała uciec, brat pochwycił ją wpół, i zaczął z nią tańczyć szalonego walca, co było powodem że wieniec połączył się wkrótce z zaściełającemi ziemię listkami.

— Szczęśliwe dzieci! rzekła Teodora!

— Możemy także powiedzieć słusznie: szczęśliwi rodzice! odpowiedział Fryderyk z promieniejącą szczęściem twarzą.

XXVIII.

Zakończenie.

Przed wyjazdem do Włoch, Fryderyk i Teodora pojechali do M... aby tam wspólnie z rodziną obchodzić uroczyście rocznicę urodzin pani Gahlen. Wszystkie dzieci i wnuki, o ile to było w ich możności, zjeżdżały się do niej na to rodzinne święto. W tym roku zgromadzenie miało być bardzo liczne, gdyż gałęzie starego pnia rozmnażały się co raz więcej.

Ta otyła dama z przypruszonemi siwizną włosami, ale jeszcze świeża, to Róża Altman. Jak dawniej tak i obecnie, oboje z mężem urozmaicają sobie życie częstemi sprzeczkami, ale nie przeszkadza im to do szczęścia, i obchodzili wesoło swe srebrne wesele. Ich najbliższe kółko rodzinne zostało powiększone przybyciem kilku synów i córek. Mała Jagusia i Elżunia były już żonami i matkami, a jeden z synów dopomaga ojcu w aptece, co dozwala mieć nadzieję że apteka pozostająca od tylu lat w ręku rodziny i nadal się w nich utrzyma.

Wiosenna świeżość znikła już z twarzy Heleny, ale jest zawsze piękna, miła i bardzo kochana. Zofia przedstawia dostojeństwo Rothenbergów w sposób nie pozostawiający nic do życzenia, ale jest przyjemniejszą niż była w młodości. Ciotka Zelma jeszcze żyje pomimo swych rozlicznych cierpień, tylko liczba fularów; czepków i watowanych czapek otulających jej głowę powiekszyła się znacznie. Dawny jej prześladowca Albert, wrócił właśnie z jednej ze swych dalekich podróży, które jako naturalista odbywa dla dobra nauki. Pozyskał już sławę pomimo że nosi zawsze zakrótkie rękawy i nie ma wiele ogłady w ułożeniu. Siostrzeńcy i siostrzenice szanują go i kochają z całego serca, tak dla jego uczoności, jak dla pięknych podarunków które im przywozi z odległych krajów.

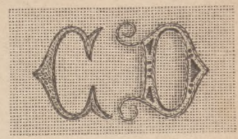
Joasia, która już dawno została przełożoną jednej z najpierwszych pensyi w stolicy, znalazła się znów obok Heleny i Teodory, swych przyjaciółek z dni smutnej młodości, Ciotka Polusia, zawsze czynna, żwawa i wesoła, pomimo swych sześćdziesięciu czterech lat, nie pominęła sposobności zobaczenia się z przyjaciołami, do których szczęścia przyłożyła się tak wiele.

Otworzono szeroko drzwi, i weszła pani Gahlen wsparta na ramieniu Gryzeldy, obecnie żony subiekta z apteki którą kochano i uważano prawie za należącą do rodziny. Dusza starego domu, ta która tak długo nim rządziła, i podtrzymała swą energiją, posuwa się niepewnym krokiem. Trzyma się jeszcze prosto, ale w całej postawie znać że to osoba potrzebująca czyjejś pomocy, że bystre kiedyś oczy nic teraz nie widzą. Straszny to cios dla pani Gahlen, i długo nie mogła pogodzić się ze swem nieszczęściem. Straciła wzrok. Wolno, nieznacznie, co raz gęstsza zasłona pokrywała jej źrenicę, aż w końcu pogrążyła je na zawsze w zupełnej ciemności. Despotyczna matka i pani przywykła wszystkim rozkazywać, musiała zrzec się swej władzy, a co gorsza stała się zupełnie zależną od innych. Jakże rozpaczliwie walczyła ze swym losem, ta energiczna istota przywykłe aby wszystko działo się według jej woli, ale walczyła napróżno.

(*D. c. n.*)



N. 1. Litery do znaczenia bielizny dziecinnej.



N. 2. Litery do znaczenia bielizny dziecinnej

Opis do N-ru 36.

(Dalszy ciąg.)

N. 19. **Koszula** z krótkiemi rękawkami, dla małego chłopczyka. Krój na arkuszu N. IX, fig. 28—30.

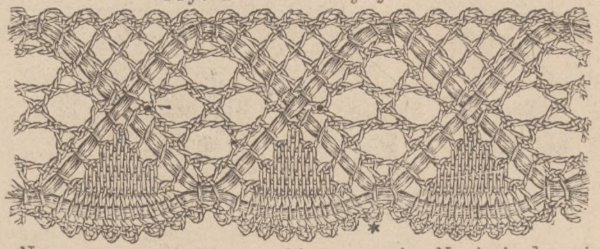
Stan przecina się z przodu na zakładę 25 cent. długą; podwójny karczek fig. 29 przystębnowywa się gładko z przodu od 8—9, plecy zaś marszczą się i wszywają od 6—7. Szyję otacza pasek 2 c. szeroki.

N. 20. **Koszula** dzienna dla chłopca lat 8 do 10. Krój na arkuszu N. XX, fig. 67—71.

Przednia połowa stanu koszuli przecina się na rozporek i zakłady z przodu podług linii oznaczonych na fig. 67; zakładki liczą po 2 centymetry szerokości.



N. 3 Lambrekina do zawieszenia w oknie lub nad drzwiami. Deseń na arkuszu fig. 58. Patrz r. 12 w N-rze 35 i ryc. 4—9 w dzisiejszym N-rze.



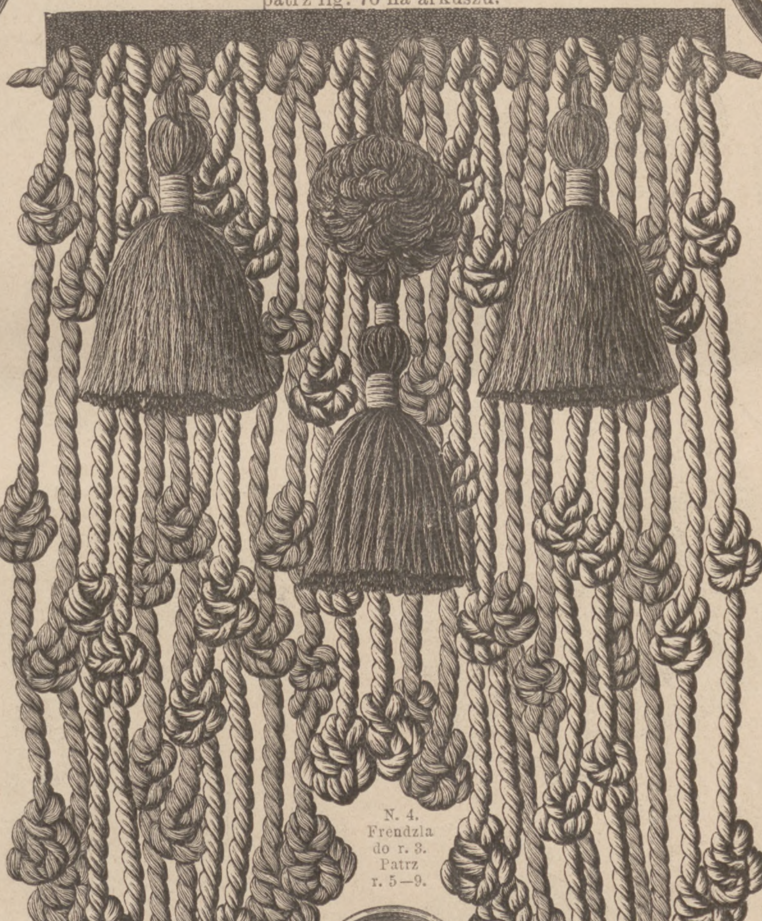
N. 10. Koronka niciana, robiona ręcznie. Napięcie deseniu patrz fig. 76 na arkuszu.



N. 11. Przykrywka malowana na blasze emaljowanej. Patrz ryc. 12—13.



N. 12. Przykrywka malowana na blasze emaljowanej. Patrz r. 11 do 13 i fig. 74.



N. 4. Frendzla do r. 3. Patrz r. 5—9.



N. 13. Przykrywka z blachy emaljowanej, malowana od spodu. Patrz r. 11-12.



N. 5. Pierwsze przewiązanie węzła do frendzli ryc. 4.



N. 7. Pierwsze, drugie i trzecie przewiązanie węzła. Patrz ryc. 4—9.



N. 6. Pierwsze i drugie przewiązanie węzła do ryc. 4.

N. 24 i 25. **Negliżyk** z gazy jedwabnej.

Denko dane z blado różowej gazy jedwabnej w atłasowe paski, które wycinają się z tła na pukielki garnirunku. Podstawę czepeczka dopasowywa się ze sztywnego tiulu; denko fałdowane z przodu, zmarszczone jest dwa razy u dołu i wycięte w pukielki, jak to objaśnia ryc. 25. Do twarzy dana suta riusza z pukli i trzy rozety nad czołem; brzegi czepeczka ogarnirowane koronką; końce z wstążki atłasowej 2 i pół cent. szerokiej.

N. 26. **Negliżyk** z rozetami z aksamitki.

Podstawę stanowi pasek sztywnego tiulu, z przodu ścięty w trójkąt 23 cent. szeroki, 22 długi, z brzegów ogarnirowany riuszą z wstążki atłasowej 3 c. szerokiej, przysłoniętą marszczoną koronką 5 cent. szeroką. Denko ułożone z kwadratowego kawałka (37 cent.) materyi jedwabnej w pasy przerabiane złotem. Rozety z aksamitki ponsowej 3 c. szerokiej.

N. 27. **Ubranie** dla chłopca lat 3—5. Krój na arkuszu N. II, fig. 4—11.

Składa się z fałdowanej bluzki, majteczek, i staniczka spodniego; uszycie nie wymaga szczegółowego opisu, dodamy tylko, że fałdki w bluzce i karczku są zastębnowane w materyale przed wykrojeniem podług formy. Za materyał służy cienkie granatowe sukienko; guziczki płaskie rogowe.

N. 28. **Sukieneczka** z chusteczką, dla małej dziewczynki.

Uszyta z białego lub kolorowego batystu, ma wykrój szyi przysłoniety chusteczką zaokrągloną na rogach i ogarnirowaną koronką, której końce skrzyżowane z przodu związane są na plecach.

N. 29. **Koszula** dzienna zapięta na ramionach, dla panienki lat 6—8. Krój na arkuszu N. VII, fig. 25—26a.

Koszulka płócienna ma wykrój i rękawki ozdobione kolorowym szlaczkiem, danym w N. 35 na ryc. 32. Po zszyciu rękawka od *w* do gwiazdki, wszywa go się w pachę od *w* do *x*.



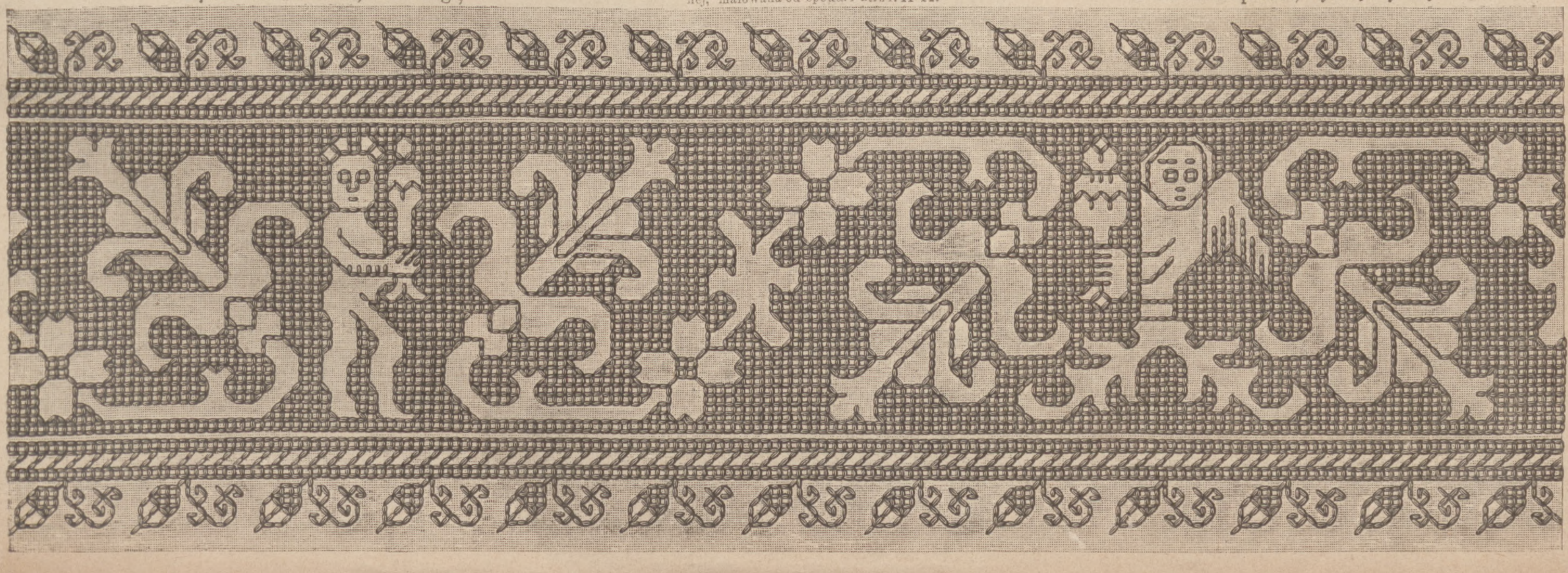
N. 8. Węzeł z trzech przewiązań do ryc. 4.



N. 9. Promień frendzli z dwoma węzłami do r. 4.

N. 30. **Koszula** krajana razem z rękawkami, dla panienki lat 12-14. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 66.

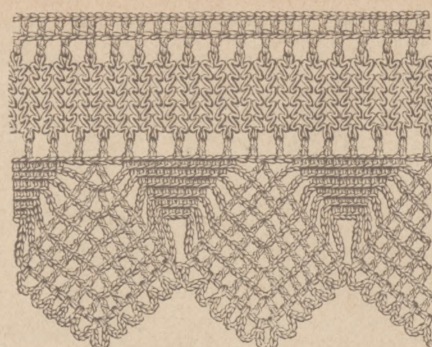
Kliny dodane z boków, ścięte są z szerokości płótna; wykrój szyi i rę-



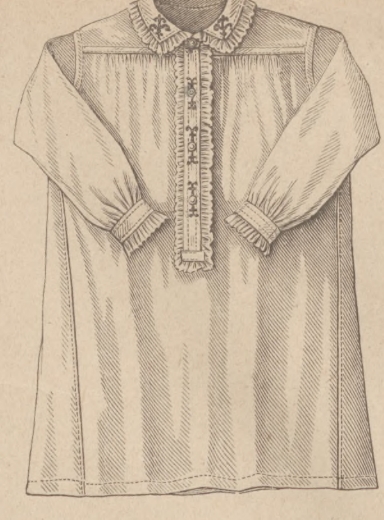
N. 14. Szlak ściegiem jednakowym na dwie strony. Do r. 5 w N. 35.



N. 27. Ubranie dla chłopczyka lat 3—5. Krój na arkuszu N. I¹, fig. 4—11.



N. 21. Koronka szydełkowa z torsadką



N. 17. Koszula nocna dla panienki lat 5—7. Krój na arkuszu N. VI, fig. 21—24.



N. 24. Negliżyk zdobny pukielkami. Patrz r. 25.



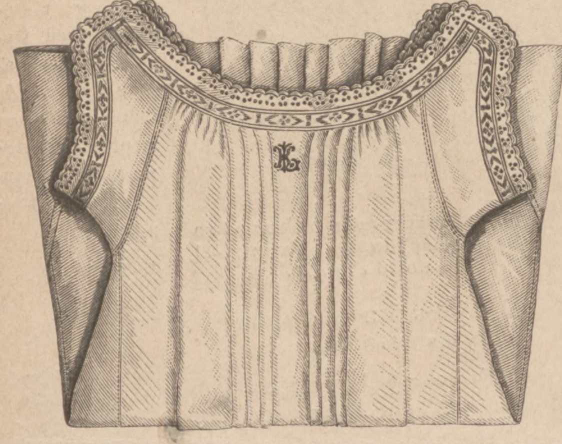
N. 23. Szlak szydełkowy do majtek.



N. 15. Kapelusik z riuszą koronkową.



N. 16. Kapelusik z rozetą aksamitną.



N. 29. Koszulka dzienna zapięta na ramionach. Krój na arkuszu N. VII, fig. 25—26a.



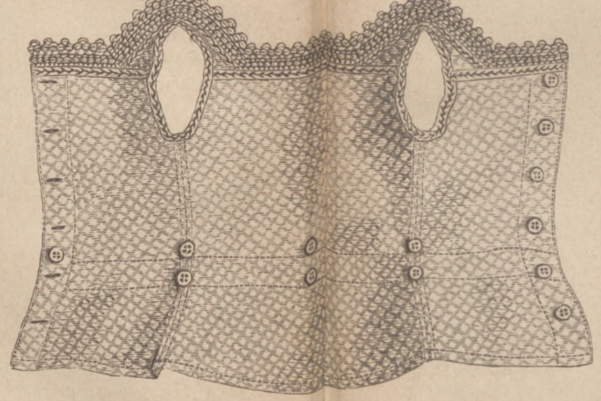
N. 31. Pas do trzymania się prosto. Krój na arkuszu N. V, fig. 18—20.



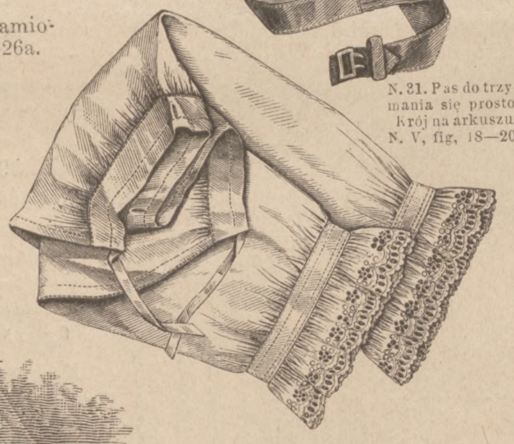
N. 35. Spódniczka ze stanikiem. Krój na arkuszu N. X, fig. 31—33.



N. 42. Sukieneczka dla dziewczynki.



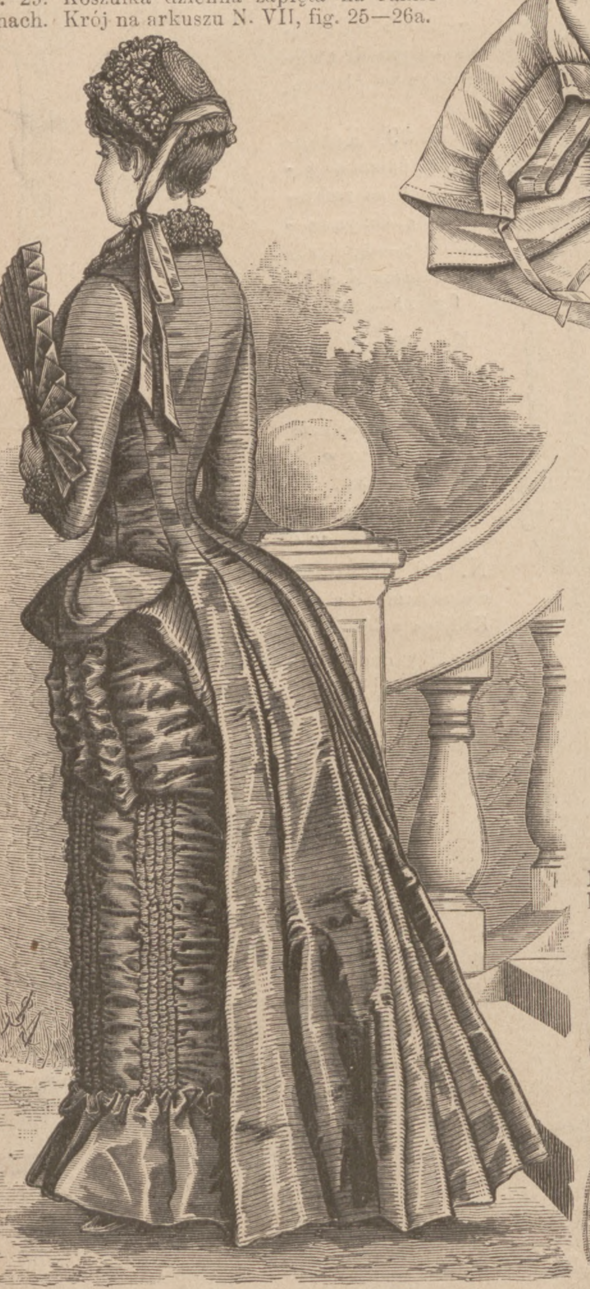
N. 41. Gorset dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. XV, fig. 51—52.



N. 37. Majtki dla panienki lat 6—8.



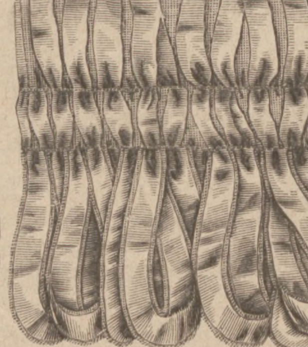
N. 30. Koszula krajana z rękawkami, dla panienki lat 12—14. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 66.



N. 50. Suknia z długiem vêtement. Patrz r. 51. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 42—45.



N. 44. Sukieneczka dla dziecka. Patrz r. 45. Krój na arkuszu N. III, fig. 12—15.



N. 25. Garnirunek w pukielki do ryc. 24.



N. 18. Koszula nocna dla panienki lat 8—10. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 61—65.



N. 46. Suknia zdobna haftem koronkowym.

N. 47. Suknia z długiem vêtement.

N. 48. Suknia z bluzkowym stanikiem.

N. 49. Sukienka z paletotowem vêtement.



N. 19. Koszulka dzienna z krótkiemi rękawkami dla chłopczyka. Krój na arkuszu N. IX, fig. 28—30.



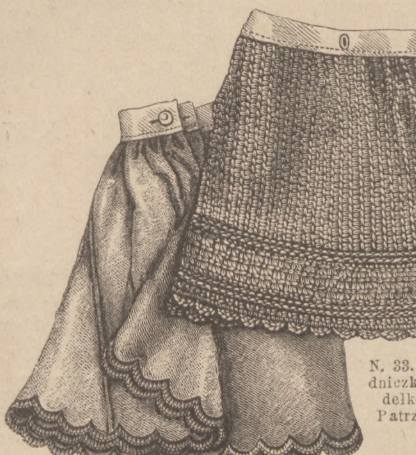
N. 22. Ząbki szydełkowe z taśmą kanwową.



N. 28. Sukieneczka z chusteczką.



N. 43. Sukienka z karczkiem dla dziewczynki lat 2—4. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 53—58.

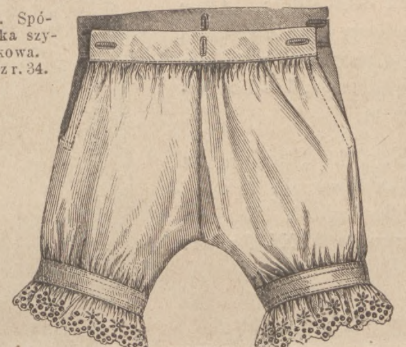


N. 32. Spódniczka flanelowa. Krój na arkuszu N. XI, fig. 34.

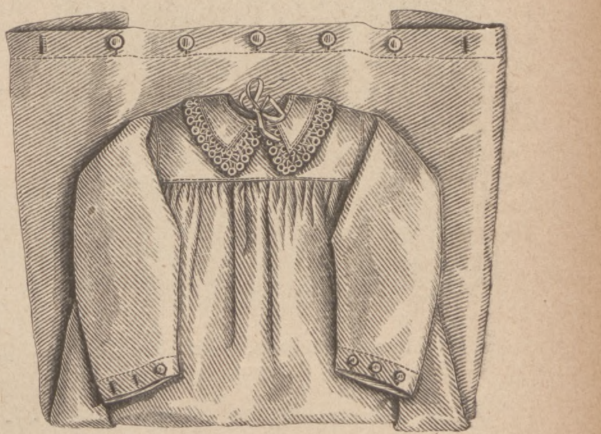
N. 33. Spódniczka szydełkowa. Patrz r. 34.



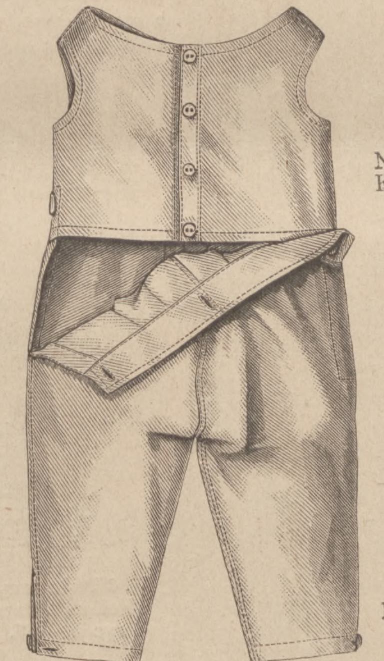
N. 26. Negliżyk z rozetami.



N. 38. Majteczki dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 27.



N. 39. Sukienka nocna dla dziecka.



N. 40. Majtki i stanik spodni dla chłopca lat 6—8. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 59—60.



N. 36. Spódniczka z haftem. Krój na arkuszu N. XI, fig. 34—35.



N. 20. Koszula dla chłopca lat 8—10. Krój na arkuszu N. XX, fig. 67—71.



N. 45. Sukieneczka dla dziecka. Patrz ryc. 44.



N. 34. Ścieg tunetański w gwiazdki, do ryc. 33.



N. 51. Suknia z długiem vêtement. Patrz ryc. 50. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 42—45.

kawki ostębnowane pliskami; przybranie stanowi koronka szydełkowa nawleczona kolorową wstążką.

N. 31. Pas do trzymania się prosto, dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. V, fig. 18—20.



N. 52. Firanka zsuwana, ze szlakiem krzyżykowym.

Pas taki kraje się podwójnie z popielatej angielskiej dymy lub z mocnego kiprowanego materyału i podług linii oznaczonych na formie przestębnowywa jedwabiem dla wsunięcia fiszbinów. W szwie od *l* do *m* dodaje się pasek (fig. 19), który w prawej połowie zakończony jest elastyką 2 cent. szeroką a 16 c. długą, przy lewym końcu dana sprzączka metalowa. Ramiączka (fig. 20) łączą się z plecami w jednym końcu od *n* do *o*, w drugim mają dodaną elastykę 11 cent. długą. Obie połowy pleców łączą się zasznurowaniem ściślejszem lub luźniejszem.

N. 32. Spódniczka flanelowa dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. XI, fig. 34.

Liczy 30 cent. długości a 110 obwodu (wymiar zmienia się odpowiednio do wzrostu) i wszyta jest u góry w pasek 4 cent. szeroki, 56 długi, brzeg dolny wydziergany w zęby włóczką kolorową.

N. 33—34. Spódniczka włóczkowa robiona szydełkiem.

Górna część spódniczki do szlaku robiona jest zwykłym ściegiem tunetańskim, zaczynając od dołu na 195 oczek, długość spódniczki wynosi 30 cent., szerokość 82 cent. Szlak liczy 11 rzędów roboty, z których środkowe są dane ściegiem w gwiazdki, przedstawionym na ryc. 34; z brzegów zaś dane po trzy rzędy ściegiem tunetańskim w prążki, a u góry i u dołu szlaku po jednym rzędzie gładkiej tunetańskiej roboty. Górna część liczy 46 obrobień; w 28 rzędzie zaczyna się gubienie oczek co trzeci rząd, przez co w ostatnim rzędzie u góry jest tylko 180 o:. Po skończeniu spódniczka obrabia się ząbkami i wszywa w pasek perkalowy 3 cent. szeroki.



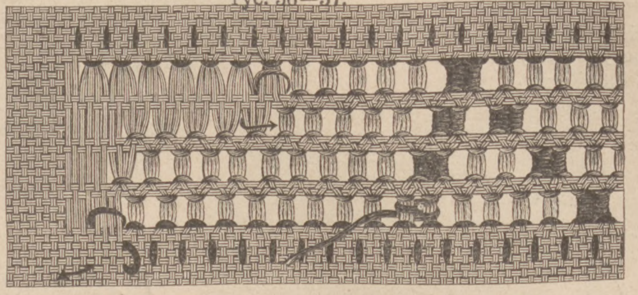
N. 59. Sukienka z paletotowym stanikiem.

N. 35. Spódniczka ze stanikiem, dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. X, fig. 31—33.

Spódniczka z białego perkalu liczy 126 c. szerokości a 20 długości i ma zastębnowane u dołu trzy zakładki; po za obrębem dane ząbki haftowane. Górny brzeg przymarszcza się odpowiednio do objętości stanika i łączy z nim przez wszycie w pasek 2 cent. szeroki. Stanik kraje się podług fig. 31—33; plecy krają się o 3 cent. szerzej na założeniu obrębów z brzegów pod dziurki i guziki. Wykrój górny oszyty ząbeczkami i listewką do ściągania na tasiemkę.



N. 55. Lewa strona płaszczyka „Fedora". Patrz ryc. 56—57.



N. 54. Wiązanie kratki ażurowej, do ryc. 53.



N. 56. Płaszczyk „Fedora". Patrz r. 55 i 57. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—3.



N. 58. Plecy do ryc. 22 w N. 35.



N. 57. Płaszczyk „Fedora". Patrz ryc. 55—56.

N. 36. Spódniczka ze szlakiem haftowanym. Krój i deseń na arkuszu N. XI, fig. 34—35.

Kraje się z cienkiego szyrtyngu i zastębnowywa w sześć wązkich zakładek, po za któremi dany szeroki szlak haftowany podług desenia na figurze 35. Pasek zapięty na guziki jest 4 c. szeroki.

N. 37. Majtki dla dziewczynki lat 6—8.

Krój takich majtek daliśmy w przeszłym roku, zresztą każda forma da się zastosować; górny brzeg zmarszczony do 64 cent. wszyty jest w skośny pasek 4 c. szeroki, w końcach na 15 cent. wzdłuż przestębnowany do ściągania na tasiemki. Dolny brzeg nogawic zmarszczony do 36 cent. obwodu, wszywa się w pasek 3 cent. szeroki, oszyty haftowaną falbanką.



N. 53. Firanka zsuwana z koronką nicianą i szlakami.

N. 38. Majteczki dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 27.

Górny przymarszczony brzeg majteczek, przykrojonych podług fig. 27, wstębnowany jest w prosty podwójny pasek, 4 cent. szeroki, złożony z dwóch części 32 i 34 c. długich, z dziurkami do przypinania do stanika. Nogawice u dołu marszczą się do 30 c. obwodu, wszywają w listewkę 2 i pół cent. szeroką, zakończoną falbanką.

N. 39. Sukienka nocna, dla małego dziecka.

Sukienki nocne zapinane u dołu na guziki, są bardzo praktyczne dla małych dzieci i zabezpieczające od zimna; powinny tylko być krajane znacznie dłużej od zwykłej sukienki. Ryc. 39 przedstawia sukienkę długą 1 metr, którą można dopasować podług kroju koszulki ryc. 17. (*D. n.*)



N. 60. Sukienka zdobna haftem.



N. 61. Szlak haftowany złotem.